Nr. 213. Lwów — Środa dnia 16 Września. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech . . . . 1 „ 60 „
w innych państwach . . . . 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 16 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo tłustym petitem . . . 5 „
tłustym garmondem po . . . 5 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . 5 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct. Reklamy . . . 30 ct. i Nekrologi . . . [illegible]
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 80 ct. od wiersza.

Dziś:	św. Ludmili	Wawyły	Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.	Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.	Wschód słońca g. 5 m. 45	Długość dnia g. 12 m. 19
Jutro:	św. Lamberta	Zacharya			Zachód „ 6 „ 4	Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 15 września.

Swobody polityczne, choćby największe, nie zabezpieczają niebezpieczeństwa wojny domowej, wywołanej nie ambicyą jakiejś jednostki, nie zamachem stanu, ale wprost przeciwieństwem interesów ekonomicznych między warstwami, albo między prowincyami. Aby po dowody na to nie sięgać w przeszłość, dość rzucić okiem na to, co się obecnie dzieje w Stanach Zjednoczonych. W tej ogromnej republice, nieprzedawnionej jeszcze, w której swobody polityczne tak wielkie, że naród naprawdę może się uważać za monarchę, namiętności tak się rozkołysały, że powstała poważna obawa, aby się nagle nie zerwała walka orężna niezamożnych z bogaczami i Stanów wschodnich z zachodnimi. Wszyscy tam dyszą gniewem i nienawiścią, wszyscy więc jeszcze wstrząsa bojowe, które bynajmniej nie są tylko jaskrawymi frazesami, bo owszem, walka się toczy o byt materyalny, o pieniądz, a czyż dla dzisiejszych tłumów jest co droższego na świecie? Walka demokratów z republikanami zmieniła się w walkę proletaryatu z kapitalizmem, to znaczy przybrała formę najbardziej niebezpieczną w każdem społeczeństwie, a tembardziej w takiem, które — jak w Stanach Zjednoczonych — wychowało się w przekonaniu, iż wszelkie prawo jest nie nad niem, ale w niem i z jego woli wypływa, jak z kodeksu. Oczywiście, wśród ludzi tak wychowanych ostatnim argumentem — i uważanym za dobry, jest pięść. Przecie ostatecznie, z takiego właśnie poglądu na prawo pięści powstała przed trzydziestu paru laty wojna secesyjna, więc i teraz z właściwą zmianą dekoracyi może się to samo powtórzyć. Znawcy tamtejszych stosunków utrzymują, że to jest zupełnie możliwe.

Wybory wyborców, którzy będą głosowali na prezydenta, odbędą się prawie za dwa miesiące — jakże więc jeszcze wzrosną namiętności, kiedy już teraz grożą strasznym wybuchem! Zawinili niezawodnie republikanie, czyli stronnictwo wielkich przemysłowców, kapitalistów, królów kolejowych. Pragnąc niezmiernie obfitego żniwa, wysunęli oni kandydaturę człowieka najbardziej głośnego, jako protekcyonista celny, jako zwolennik jedynej monety złotej i jako gorliwy wyznawca doktryny Monroego, która byłaby zastosowana nawet do sprawy kubańskiej. Pod każdym z tych trzech względów Mac-Kinley najbardziej odpowiadał nadziejom i pożądliwościom krezusów i spekulantów: cło protekcyjne wzbogaciłoby fabrykantów, moneta złota dałaby ogromne pole do operacyj giełdowych, a zbrojne wmięszanie się w sprawę Kuby byłoby wypełnieniem tajnego kontraktu, który zawarli powstańcy ze spółką kapitalistów północno-amerykańskich, wiadomo zaś, że na mocy tego kontraktu owi kapitaliści mają otrzymać na oswobodzonej od hiszpańskiego panowania Kubie nadzwyczaj korzystne przedsiębiorstwa, przywileje i monopole. Lecz kiedy konwent republikański w St. Louis jednogłośnie okrzyknął Mac-Kinleya kandydatem do prezydentury, ocknęli się demokraci, przerażeni skutkami ceł protekcyjnych i monety złotej dla drobnego rolnictwa i w ogóle ludzi niezamożnych, pracujących na swe utrzymanie bez pomocy nagromadzonego kapitału. Konwencya demokratów w Chicago wyniosła na kandydata pełnego werwy i zuchwałości Bryan'a, który począł dowodzić, że zamiast złotej monety, trzeba wprowadzić przymusowy kurs srebrnego dolara, „monety zdrowej", monety ubogich. Bryan jął agitować za sobą w sposób nieco demagogiczny i tem przeraził wielu własnych zwolenników, demokratów. Ci zebrali się na konwent w Indianopolisie i nazwawszy się „demokratami złotymi", potępili agitacyę Bryan'a, nazwawszy ją systemem nieuczciwości, systemem korrupcyi, niebywałego złodziejstwa, środkiem rewolucyjnym i demagogicznym, tem bardziej zbrodniczym, że uwodzi ubogą ludność i wciąga ją w swoje koło. Jednak „złoci" demokraci, odłączywszy się od swego stronnictwa, nie połączyli się z republikańskimi zwolennikami złotego dolara, ale postawili własnego kandydata do prezydentury w osobie generała Palmer'a. Nie spotęgowali zatem widoków Mac-Kinleya, ale osłabili widoki Bryan'a, pociągając ku sobie całą umiarkowaną część swego stronnictwa. Ubodzy demokraci, czy t. zw. „populiści" ujrzeli w tym manewrze korzyść republikanów i zacięli się jeszcze bardziej, popadli całkiem w demagogię, razem ze swym wodzem Bryan'em, którego sprawa zdaje się stoi coraz lepiej. Dzięki jemu, walka o prezydenturę stała się już nietylko walką srebrnego dolara ze złotym, ale walką mas przeciw klasom uprzywilejowanym, walką ubogich przeciw bogaczom.

Bryan głosi, że srebro jest monetą człowieka ubogiego, a złoto bogacza; że z zaprowadzeniem waluty srebrnej wszystkie najpierwsze potrzeby staną się tańszemi; że długi będzie się spłacało srebrem, a zatem monetą tańszą, co stanie się znaczną ulgą dla obdłużonych, a zwłaszcza dla małych farmerów, mających po większej części hypoteke mocno obciążoną. Bryan wcale nie lęka się tego, że Ameryka za swoją srebrną walutą, będzie odosobniona; Stany Zjednoczone, według niego, stanowią osobny świat same dla siebie i mogą łatwo obejść się bez innych.

Przyznać trzeba, że program tak ponętny dla mas ubogich, a zarazem tak łechcący dumę narodową, jest zręcznie obmyślany. Czy uznowy? Czy jest w stanie ziścić obietnice, oparte na przymusowym kursie srebrnego dolara? — to inne pytanie. Utrzymują, że Bryan jest szczerym wyznawcą teoryi i przekonań, które głosi, co wszystkim przemówieniom jego, których nie szczędzi, nadaje siłę i zapał udzielający się słuchaczom i stanowi jego wybitną cechę. Przeciwnie Mac-Kinley jest przedstawicielem wpływowych, a zatem reprezentuje wielkie klas bogatych, nie mogą nawet dodać mowom swoim tego pieprzu namiętności, którym tak hojnie Bryan szafuje.

Wreszcie wiadomo rzecz, iż w tak bujnie rozwiniętym życiu republikańsko-politycznym Unii północno-amerykańskiej, w każdej akcyi politycznej rozstrzygającą siłą jest ilość wydanych na nie pieniędzy; ponieważ zaś, według powszechnej w Stanach opinii, „ubodzy" demokraci, czyli populiści dwa razy większe sumy poświęcili na wybór prezydenta, aniżeli miliarderzy złoci, więc prawdopodobnie Bryan zostanie prezydentem Unii. Pierwej jednak może przyjść do krwawych awantur.

Oświadczenie węgierskiego ministra finansów Lukacsa, iż co się tyczy rozdziału kwoty wspólnych wydatków, rząd węgierski wcale jeszcze nie rokował z austryackim i ani nic nie przyrzekł, ani do niczego się nie zobowiązywał, było opozycyi za mało jasne, to też potrafiła ona wywołać wyraźniejszą enuncyacyę rządową. Oto jeden z opozycyjnych dzienników doniósł, że rząd węgierski przecież zobowiązał się milcząco, skoro rokował z rządem austryackim o innych szczegółach ugody, wiedząc dobrze o tem, iż rząd austryacki odnowienie całej ugody czyni zależnem od podwyższenia kwoty, przypadającej na Węgry. Otóż węgierskie biuro korespondencyjne w osobnym komunikacie zapewnia, że rząd węgierski do niczego się nie zobowiązał ani wyraźnie, ani milcząco, lecz sprawę rozdziału kwoty zostawia swobodnej decyzyi powołanych do tego czynników, a że rokował z rządem austryackim o innych sprawach, to jest całkiem naturalne, bo przecież trzeba się porozumieć co do szczegółów, zanim się przedłożenia ugodowe wniesie do parlamentów. Leży to w interesie zarówno Węgier jak i Austryi, bo n. p. rząd węgierski nie mógłby się zgodzić na żądanie rządu austryackiego co do podwyższenia cła od nafty, gdyby jednocześnie nie miał pewności, że żądanie jego w sprawie bankowej, walutowej i podatków konsumcyjnych będą uwzględnione.

Zjazdy i przyszłość Turcyi.

Piszą nam z Wiednia, 13 września:

Od zjazdów we Wrocławiu i Wiedniu minęło dopiero dni kilkanaście, a już co do ich politycznych owoców nastało zupełne wytrzeźwienie. Czytelnicy przypomną sobie, że nie staliśmy w chórze, który tak przesadnymi hymnami witał parę carską, wjeżdżającą do Wiednia, lecz ostrzegaliśmy przed owem pomieszaniem pojęć, na mocy którego nowy dowód serdecznych stosunków dworskich całkiem niesłusznie uważano jako zapowiedź usunięcia antagonizmu realnych interesów państwowych. Zapominano mianowicie, że wycieczka rodziny carskiej do Europy miała przedewszystkiem na celu złożyć dworom podziękowanie za okazały udział w uroczystościach koronacyjnych w Moskwie, dokąd wysłały następców tronu lub najbliższe panującemu osobistości. Odwiedziny cara w Wiedniu i Wrocławiu były więc aktem grzeczności dworskiej, osobistej, nie zaś ewolucyą polityczną.

Gdyby wrażenie wywołane świetnem i serdecznem przyjęciem mogło wpłynąć na polityczne przekonania cara, to szczególnie silnem powinno być wrażenie przyjęcia w Balmoralu, na dworze ukochanej babki carycy i ożenionego z ciotką cara ks. Walii. Któż jednak przypuści że stary, zaostrzający się nieustannie antagonizm pomiędzy W. Brytanią a Rosyą wskutek tego zjazdu zniknie, albo choćby tylko złagodnieje? Na odwrót, jeżeli gorący zapał przyjaźni, nawet adoracya mogłyby wpłynąć na stosunki polityczne, czyż nie jest rzeczą niewątpliwą, że Francya w tej mierze zdobędzie się na więcej, niż wszystkie trzy wielkie dwory razem, które przedtem dostąpiły, względnie dostąpią zaszczytu odwiedzin cara? Uderzyła serdeczność w przemowie Cesarza Franciszka Józefa, do samych granic uprzejmości krasomówczej posunął się cesarz niemiecki w toaście do cara, a zwłaszcza w znanym epilogu, i niezawodnie także poczciwa babka angielska nie będzie szczędziła młodym turystom cesarskim słów najsłodszych.

Cóż to wszystko jednak znaczy wobec istnego szału zachwytu, w jakim Francya, nie prezydent i ministrowie sami, ale cały republikański lud francuski oczekuje wizyty cara? Tam jedni radzą, aby dzień przybycia cara nadal obchodzono jako święto narodowe. Inni błagają uwielbianego gościa, aby w rzędzie swych licznych tytułów raczył zamieścić także tytuł „Protektora Rzeczypospolitej francuskiej". W dzień przyjazdu wszystkie dzienniki mają ogłosić artykuły wstępne w języku rosyjskim. Według innej propozycyi należałoby podarować dostojnemu gościowi jeden z pałaców publicznych, aby odtąd w Paryżu był zawsze u siebie. Wszystkie dzieci, urodzone w dzień przyjazdu pary carskiej, mają otrzymać imię Mikołaja, względnie Aleksandry. Z pomiędzy jenerałów francuskich car ma sobie wybrać jednego na jeneralnego adjutanta, ambasador rosyjski w Paryżu ma odtąd otrzymać pierwsze miejsce w gronie dyplomatów (które według dawnej tradycyi przysługuje nuncyuszowi), na „place de la Concorde", gdzie został ścięty Ludwik XVI), ma stanąć pomnik Mikołaja II itd. itd. Pomysły takie nie wychodzą z pewnego obozu politycznego, lecz ze wszystkich. Aż do początku bieżącego stulecia Rosya nigdzie nie uchodziła za państwo zachowawcze i też nie cieszyła się żadną sympatyą w rojalistycznych i konserwatywnych kołach francuskich. Dopiero zręczność, z jaką Aleksander I, po zajęciu Paryża przez sprzymierzeńców, wysłuchawszy kilku lekcyj Talleyranda, w którego pałacu zamieszkał, wystąpił nagle w roli opiekuna legitymizmu, sprowadziło tak radykalny przewrót w wyobrażeniach, że cały, szeroko rozgałęziony we Francyi, Hiszpanii i Włoszech dom burboński ze swą liczną klientelą odtąd Rosyę zaczął uważać jako opokę konserwatyzmu. Nie zadziwiałby więc zapał legitymistów francuskich, marzących o nowym r. 1814, czyli przywróceniu monarchii prawowitej przez Rosyę. Ale te koła owszem zachowują jeszcze pewne pozory godności narodowej, gdy właśnie owe massy, które uważają siebie jako szeroką i potężną podstawę republiki, w zachwycie bez granic posuwają się do demonstracyi i owacyi, przypominających mimowolnie aforyzm francuski: „du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas" (od wzniosłego do śmiesznego tylko krok).

Z tym zapałem całego narodu francuskiego nikt inny nie mógł współzawodniczyć. Wiedzieliśmy to doskonale przed wyjazdem pary carskiej do Wiednia, dlatego też ani chwilę nie oddawaliśmy się złudzeniu, jakoby mniej lub więcej świetne i serdeczne przyjęcie carskich gości w Wiedniu (i Wrocławiu) mogło rzeczywiście wpłynąć na zmianę stosunków międzynarodowych, jak z drugiej strony także niezrównane i jedyne w swym rodzaju owacye i adulacye paryskie tylko ponownie zatwierdzą istniejące oddawna ugrupowanie międzynarodowe.

W pierwszych dniach po zjeździe wiedeńskim napomykano, że stanęły tu jakieś umowy co do kwestyi tureckiej. Teraz te rzekome umowy coraz bardziej znikają z widowni. Nie żałujemy tego wcale. Kwestya wschodnia nie jest sprawą Austro-Węgier i Rosyi, lecz europejską, obchodzi wszystkie mocarstwa i właśnie ten fakt, wielce niedogodny dla Rosyi, tworzy nader pożądaną gwarancyę dla Austro-Węgier. Nie wyklucza to, aby w różnych fazach kwestyi wschodniej nie miały ad hoc stanąć umowy pomiędzy Wiedniem a Petersburgiem, zwłaszcza, gdy nie dotyczą rozwiązania owej kwestyi, lecz przeciwnie jej odroczenia. Być więc może, iż hr. Gołuchowski z ks. Łobanowem porozumiewał się w tym duchu, że oba mocarstwa na teraz będą powstrzymywały likwidacyę Turcyi. I to jednak zależy w wysokim stopniu od samej Turcyi, a następnie od innych mocarstw, a zatem i taki negatywny program austro-rosyjski może być tylko efemerycznym.

Co do nas, to agonii państwa tureckiego nie przypatrujemy się bynajmniej z lekkiem sercem i nie chcielibyśmy tej kwestyi rozwiązywać według dźwięcznych haseł. Naród nasz toczył zacięte i chlubne walki z olbrzymią naówczas potęgą ottomańską, a Jan Sobieski pod Wiedniem zadał jej cios śmiertelny. Od pokoju karłowickiego (r. 1699), który był następstwem odsieczy Wiednia, rozpoczyna się upadek państwa tureckiego. Ale też od tej chwili stało się ono najuczciwszym sąsiadem Polski, nawet jedynym, który w różnych grożących zawikłaniach pragnął nam szczerze dopomódz. Niepodobna tego zapomnieć. Niezawodnie też po tych słowiańskich i niesłowiańskich narodach, które są naturalnymi spadkobiercami Turcyi, nie możemy się spodziewać tyle sympatyi i takiego zrozumienia naszego interesu n a r o d o w e g o, jak po Turkach. A nareszcie, jeżeli w 17-tem stuleciu walka przeciwko Turcyi była obowiązkiem katolickim, to w bieżącem stuleciu tolerancyą i względnością dla wyznania katolickiego Turcya niewątpliwie zawstydza niejedno państwo — chrześcijańskie, a nawet... katolickie. Nigdzie Kościół katolicki nie cieszy się większą swobodą, jak w Turcyi.

Ze stanowiska więc naszego interesu narodowego teorya utrzymania Turcyi była nierównie logiczniejszą polityką, niż przyspieszenie jej upadku. Nie mamy żadnego powodu zapierać się naszego interesu narodowego. Nie czynią tego ani Niemcy, ani Madziarzy, ani w odwrotnym kierunku Czesi. Tem mniej jesteśmy zobowiązani odłożyć na bok miarę naszego interesu narodowego, ponieważ, jak w tylu innych ważnych kwestyach, tak też w kwestyi tureckiej, jest on identycznym i rzeczywistym interesem wspólnej monarchii. Dla Austro-Węgier od dawna Turcya była sąsiadem najmniej niewygodnym, a nie ma żadnej pewności, aby to, co powstaje na jej gruzach, nie groziło im większemi niebezpieczeństwami niż Turcya, nawet przed r. 1683. To też dobrze rozumiemy, że żaden światły mąż stanu austryacko-węgierski nie zechce przyśpieszać upadku Turcyi i gorąco pochwalamy największą ostrożność i wstrzemięźliwość na tej drodze.

Z drugiej strony jednak symptomaty wewnętrznego rozkładu państwa ottomańskiego tak się mnożą i przybierają tak zastraszające rozmiary, że ewentualność ostatecznej katastrofy coraz bardziej narzuca się wszystkim trzeźwym umysłom. Wprawdzie takie straszliwe rzezie, jak ostatnie, nie są nowością w Carogrodzie, owszem należą tam, aby się tak wyrazić, do kolorytu miejscowego Za panowania chrześcijańskiego cesarza Justyniana w r. 532 jednego dnia 19 stycznia naczelny wódz cesarski Belizaryusz w hypodromie wyciął 30.000 obywateli należących do stronnictwa „zielonych" nienawistnych intrygancki cesarzowej Teodorze. W r. 1826 na tym samym placu sułtan Mahmud II wytępił 20.000 zbuntowanych janczarów. Podobne egzekucye en masse, choć na drobniejsze rozmiary, wydarzały się tam za czasów greckich, jak za czasów tureckich nierzadko.

W wyjątkowych stosunkach mogą się one stać złem koniecznem, a nawet zbawić państwo, ale pod warunkiem, że potem zawładnie jakiś ustrój prawidłowy, wewnętrzny ład i porządek, odpowiedni potrzebom czasu rozwój. Na to jednak nie zanosi się wcale w Turcyi. Od kongresu berlińskiego każdy, uczciwy przyjaciel zalecał rządowi carogrodzkiemu śpieszne przeprowadzenie koniecznych reform. W r. z. uczynił to markiz Salisbury w sposób na pozór rubaszny, nawet gwałtowny, ale naprawdę o wiele przyjaźniejszy Turcyi, niż egoistyczne podszepty tych, którzy odwodzili sułtana od reform, pod hasłem, że „Turcya nie zmienia się". Gdyby sułtan w r. z. był usłuchał surowych, ale szczerych napomnień Salisburego, a nie dowierzał podstępnym insynuacyom Nelidowa, prawdopodobnie nie byłoby wybuchło ani powstanie na Krecie, ani zamach dynamitowy Ormian w Carogrodzie. Ileż to chciwi sąsiedzi zawierali traktatów, celem zabezpieczenia anarchii w Polsce (i Szwecyi) i przeszkodzenia ulepszeniu instytucyj publicznych. Kto pamięta o tem, ani chwili wątpić nie może, że nie ci pragną upadku Turcyi, którzy jej doradzają koniecznej reformy, lecz ci, którzy sułtana od tego odwodzą, aby wygodnie czekać, aż będą mogli sięgnąć po „gruszkę dojrzałą".

Niewątpliwie wielkie mocarstwa mogłyby zmusić sułtana do przeprowadzenia reform. Ku temu jednak nie trzeba porozumienia się Wiednia z Rosyą, która sobie wcale nie życzy odrodzenia Turcyi, lecz z odnośnym projektem powinno wystąpić solidarnie trójprzymierze. Na projekt taki oczywiście zgodziłaby się Anglia, a Rosya i Francya nie odważyłyby się stawić czynnego oporu bezinteresownemu zreformowaniu Turcyi na podstawie terytoryalnego status quo. To byłoby pierwszą walną próbą rzeczywistego wpływu trójprzymierza. Aby się odważyć na nią, wystarczy pozbyć się dziwacznej iluzyi jakoby pokój powszechny zależał wyłącznie od kaprysu cara rosyjskiego, zerwać z tą nowomodną fikcyą, jakoby w każdem naprężeniu pomiędzy Anglią a Rosyą było nibyto obowiązkiem stanąć po stronie drugiej, a nie zważać na pierwszą, a przedewszystkiem jasno zrozumieć, że ścisłość ligi potrójnej jest o wiele poważniejszym i skuteczniejszym czynnikiem polityki międzynarodowej, niż sztuczna, a zawsze tylko pozorna, bo niemożliwa harmonia i zgoda wszystkich mocarstw. Owacye paryskie, wykazując serdeczność, zaufanie i zapał, na których się opiera liga francusko-rosyjska, może par ricochet przyczynią się do dokładnego wyjaśnienia tej prawdy. Tymczasem oznak świtania możnaby się dopatrzeć w wiedeńskiej korespondencyi *Münch. Allg. Zeitung*, która podnosi, że sytuacya od razu stałaby się korzystniejszą, gdyby rząd berliński porozumiał się z tutejszym co do Dardanelli. Hic Rhodus hic salta! Nie tylko co do Dardanelli, lecz co do całej kwestyi tureckiej powinno przedewszystkiem nastać porozumienie pomiędzy ligą potrójną, jeżeli ona nie jest fikcyą, a potem reszta pójdzie łatwo.

---

7)

PASIERBY

Powieść na tle współczesnem
przez
Anatola Krzyżanowskiego.

(Ciąg dalszy).

Na widok ich, lica Zaliwskiego chmura powlokła. Pomimo tego ściągnął lejce, zatrzymując na miejscu kabrjolet. Z tamtej strony uczyniono to samo.

— Pan pułkownik do mnie może jedzie? — podjął właściciel Zaliwiec grzecznie.

— A gdzież indziej mógłbym tłuc o tej porze stare moje kości? — odparł szlachcic w pół gniewnie, w pół żartobliwie. — Dobrze, że pana prezesa spotykam, bo mi to pozwoli wyprostować je trochę.

I rzeźko a zręcznie zeskoczył z wózka.

Zaliwski, niezadowolony widocznie, musiał uczynić to samo.

— A może pan pułkownik przesiądzie się do kabryoletu? — zaproponował. — Ręczę, że niesie lekko i wcale nie trzęsie.

Krzaczyste brwi starca podniosły się, siwe jego oczy błysnęły z dobroduszną złośliwością.

— Jakbym ja chudopachołek wyglądał w takim pańskim ekwipażu? — szydził zlekka. — Własne nogi i kij w ręku, to na krótki dystans najlepsza, bo zdrowa a niekosztowna lokomocya.

— Jak wola — odparł Jan Zaliwski, przygryzając wąsy, zwróciwszy się zaś do córki, dodał:

— Proszę cię, Szczęsno, może i ty zsiądziesz.

Oblana purpurą na widok pańskiego lekceważenia, z jakiem ojciec nie podał nawet ręki przybyłym, podniosła się, równocześnie zaś szorstki szlachcic, niepomny tym razem wieku, poskoczył narówni z synowcem, by jej zsiąść pomódz. Sześć rąk, wyciągniętych ku niej razem, zmieszało ją, krasząc prześlicznym uśmiechem zarumienione lica.

Galanterya ta rozbroiła Zaliwskiego.

— Pan pułkownik nie zna mojej córy? — przemówił uprzejmiej. — Panowie Dowburt-Konieccy — dodał, przedstawiając.

— Tylko Dowburt — poprawił stary. — Nie lubię tych brzmiących dodatków. Jestem prostak, co zresztą córka pańska z własnego wie doświadczenia.

— Co to znaczy? — podjął, prostując się Zaliwski.

— Jeżeli obraziłem panią wtedy — ciągnął starzec — proszę mi to przebaczyć. Życie przekona panią niejednokrotnie, iż szczerość taka lepszą jest nierz od toczonych a fałszywych frazesów.

— Co to znaczy, Szczęsno? — powtórzył pytanie Zaliwski.

— Szczęsna? — podjął stary Dowburt. — Piękne imię. Na przebłaganie za winę moją mogę tylko życzyć, aby przyszłość, szczęście pani niosąc, kłamu dewizie tej nie zadała. Ale wierz pani staremu i, nie wyzywając losu, zmień lepiej Szczęsną na zwykłą Felicyę.

— Czy to przepowiednia?

— Nie, wynik doświadczenia tylko. Szczęście, to ptak rajski, którego na bezludnych trzeba szukać wyspach.

— Nie zatruwaj mi pesymizmem umysłu córki, pułkowniku — wtrącił Zaliwski.

— Masz pan racyę — brzmiała odpowiedź. — Przejdźmy lepiej do interesu.

Szare jego oczy ukryły się pod brwi krzaczyste, ożywiona na chwilę maska przybrała wyraz szorstkości i chłodu. A jednak, patrząc na szlachetne te rysy, zmarszczkami poorane a siwym wąsem przyozdobione, czułeś, że chłód ów i szorstkość nie zawsze w nich panować musiały, że dla świata przybrane, mocą przyzwyczajenia tylko przyrosły do rozumnego i myślącego oblicza.

Starsi panowie, zatopieni już w interesie, postępowali naprzód, dziewczę zmieszane jeszcze słowami Dowburta zwolna szło za nimi.

— Niech pani nie wierzy stryjowi — zabrzmiał obok niej głos nieśmiały — aby szczęście było rajskim ptakiem, mieszkającym na bezludnych wyspach tylko.

Podniósłszy oczy, spotkała się z gorącym wzrokiem Zygmunta Dowburta, z tym wzrokiem jasnym a pełnym zapału, którego wspomnienie od czasu spotkania ich tak niepokojąco na myśl jej wracało.

— Niech pani nie wierzy jego słowom — powtórzył z naciskiem. — Życie, które stryjowi memu przyniosło zawody i zdziwaczenie, pani, w imię dewizy jej właśnie, ześle szczęście tylko. Los dał już pani dwa warunki: piękność i dobroć, dlaczego więc miałby odmówić trzeciego, dlaczego miałabyś szczęsną nie być.

Odcień szczerości i zapału wzruszał ją; aby więc pokryć wrażenie, przybrała ton żartobliwy.

— Kto panu powiedział, że jestem dobrą?

— Przebaczenie pani. Widzę, że darowałaś już ową scenę w lesie.

— Zapomniałam o niej poprostu.

— Zapomniała pani... — powtórzył z rozczarowaniem. — Zapomniała...

Uważał to snać nie już za obojętność, lecz za lekceważenie, które bolało go mimowoli. Wtem wrażliwe jego rysy rozjaśniły się napowrót.

— Skoro tak — podjął — dlaczego stare dęby nie ujrzały pani odtąd? Wszak wiem, że to ulubiony twój zakątek?

Pochylił się, chcąc badawczo w oczy jej spojrzeć. Ukryły się wszakże w cieniu rzęs czarnych, tak, iż wzrok jego spotkał tylko profil o delikatnym, subtelnym zarysie i przepysznej, blask jutrzenki przypominającej karnacyi.

— Dlaczego? — powtórzył zcicha błagalnem naleganiem.

Ton ów mieszał dziewczę coraz więcej, dziwną zarazem sprawiając jej przyjemność.

— Czy dęby powierzyły panu tajemnicę tę? — broniła się jeszcze żartobliwie.

— Tak. Zdradził ją szum ich smutny, powiedział klon, stojący na polance, który, jak owa kalina w pieśni, z żalu po królowej liście swe zaczął rozwiewać. Chodziłem pocieszać go, ale nie zastawszy nigdy pani, sam potrzebowałem pociechy, bo sądziłem, że za przykrość wyrządzoną wtedy gniewasz się jeszcze.

Szafirowe źrenice Szczęsnej, wielkie i błyszczące a jak toń nieba głębokie, podniosły się poważnie ku niemu.

— Panie Koniecki — rzekła — czy chce mnie pan zobowiązać?

— Choćby ofiarą życia całego.

— Och — uśmiechnęła się — stokroć mniej wymagam. Oto racz pan, mówiąc do mnie, nie używać tonu zdawkowej galanteryi.

— Zdawkowej galanteryi?

— Tak. Widzi pan, jestem niepoprawną na wiek mój dziwaczką. Lubię, żeby mnie traktowano poważnie.

— A więc pani sądzi — wybuchnął chłopak z ogniem — że wstając o świcie od kilku tygodni i biegnąc tam, z narażeniem się na śmieszność nawet, by ujrzeć cię na chwilę, czyniłem to w imię „zdawkowej galanteryi". Że dla banalnego tego uczucia przywiozłem tu dziś przemocą stryja, by smutny spór jego z ojcem pani w pokojowy zakończył sposób?

Spostrzegłszy zaś, że za wiele powiedział, że siebie zdradza a ją obraża może, zatrzymał się i w lot słowom swym inne a dozwolone dał znaczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Korespondencye.

Wiedeń, 14 września.

(i). Nigdzie może nie kursuje tyle plotek politycznych, co na giełdzie. Większa ich część nie ma wprawdzie żadnej wartości, atoli bywały wypadki, że o niejednem doniosłem zdarzeniu politycznem sfery giełdowe miały wiadomość o kilkanaście godzin, często nawet o kilka dni wcześniej, niż dzienniki. Zbłądziłby atoli grubo każdy, ktoby kursującym na giełdzie pogłoskom dawał bezwarunkowo wiarę, nieraz na dziesięć zaledwie jedna zawiera część prawdy, która jakiemiś niezbadanemi drogami dostaje się do wiadomości spekulantów, reszta to proste manewry, obliczone na to, że przecież znajdą się łatwowierni, którzy nieuchwytną famę wezmą za prawdę i dadzą sobie wypróżnić kieszenie. Z tem zastrzeżeniem podaję pogłoskę, która od soboty już kursuje na giełdzie. Oto spekulanci szepczą sobie na ucho, że dyplomacya europejska zajmuje się projektem złożenia sułtana z tronu i że nawet gabinet angielski zwołano na nadzwyczajną konferencyę celem omówienia tej sprawy. Wedle innej wersyi, ambasadorowie rezydujący w Konstantynopolu starają się nakłonić Szeik-ul-Islama do orzeczenia detronizacyi sułtańskiej, gdyż wedle koranu on tylko jeden może takie orzeczenie wydać. Te pogłoski, które, jak rzekłem, trzeba przyjmować z wielkiem niedowierzaniem, były w znacznej mierze powodem ostatniego spadku kursów.

Notuję je z obowiązku dziennikarskiego, dodając, że „biuro Reutera" zaprzeczyło już owej pogłosce co do zwołania nadzwyczajnej konferencyi gabinetu angielskiego. — Bądź co bądź, czy jestto prawdziwa pogłoska, czy nie, zaprzeczyć się nie da, że opinia publiczna prawie w całej Europie występuje ostro przeciw rządowi tureckiemu i sułtanowi. W Anglii co niedzielę niemal odbywają się mityngi, przypominające żywo agitacyę w r. 1878, za oswobodzeniem Bułgaryi. W Niemczech także odbył się już w Berlinie, mityng antiturecki, a za nim pójść mają inne, w Szwajcaryi zwołano również wielki wiec antiturecki do Lozanny, wreszcie i katoliccy posłowie do parlamentu francuskiego ks. Hulst, hr. de Mun i Lemyre de Villers zapowiedzieli interpelacyę do ministra spraw zagranicznych, w której zapytują go, co rząd francuski zamierza poczynić dla ochrony chrześcian w Turcyi i czy Francya wyrzekła się już zupełnie swej pięknej historycznej misyi opiekowania się chrześcijaństwem na Wschodzie. Nawet część prasy francuskiej uderza już na rząd, że tak obojętnie zachowuje się wobec tego co się dzieje w Turcyi.

W chwili, gdy rzucam list ten na pocztę rozeszła się na giełdzie pogłoska o jakichś wykrytych przygotowaniach do zamachu na cara. Bliższych szczegółów niepodobna na razie się dowiedzieć. (Vide telegramy. Przyp. redakcyi.)

Rzym 8 września.

(*Ad.*) Powszechnie tu się spodziewają, że na ślub królewicza przybędą car i cesarz niemiecki; niektórzy jednak utrzymują, że ci monarchowie zjadą tylko do Monzy. Nie wiem, czy się spełnią te nadzieje włoskie, ale jest faktem, że z rozkazu ministra wojny kazano muzykom wojskowym wyuczyć się hymnu rosyjskiego

Zaślubiny ks. Neapolu, cywilne i kościelne, odbędą się w Rzymie. Dzień ślubu nie jest jeszcze wyznaczony, lecz wiadomo, że przypadnie w drugiej połowie października. Ślub cywilny odbędzie się w Kwirynale, co do kościelnego zaś nie obrano jeszcze świątyni. W kościele Ś-go Piotra odbyć się nie może, albowiem stoi on na terytoryum Watykanu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa odbędzie się w kościele parafialnym Kwirynału, del Santo Sudario, a obrzędu dokona msgr. Annino, kapelan króla. W innych bowiem kościołach, jak Araceoli albo Santa Maria degli Angeli, raziłaby nieobecność wysokiego kleru podczas uroczystego obrzędu. Wielkich uroczystości publicznych nie będzie ku uczczeniu zaślubin, albowiem nie ma widoków, by do tej pory Menelik uwolnił 2000 jeńców włoskich. Niemniej rada miejska w Rzymie wyznaczyła 100 000 lir na urządzenie zabaw ludowych w dniu wesela. Księżna czarnogórska, Milena, udaje się wkrótce do Wiednia wraz z księżniczką Heleną, dla zakupienia wyprawy. Cesarz Franciszek Józef oddał księżnej do rozporządzenia okręt wojenny dla przejazdu do Cattaro i Tryestu.

Głośny poeta włoski Giosue Carducci napisał odę na cześć małżeństwa księcia Neapolu p. t.: „Do Heleny, perły Czarnogóry", a sławi w tym utworze bohaterskie czyny domu Petrowiczów, i porównywa je z czynami domu Sabaudzkiego. Oda kończy się apoteozą związku między „sławnymi mieszkańcami górskimi Sabaudyi" a „niezwyciężonymi mieszkańcami górskimi Czarnogóry". Poemat ten ukaże się drukiem w dniu ślubu następcy tronu.

Jeden z radykalnych dzienników medyolańskich pomieścił z powodu zaręczyn ks. Neapolu następującą złośliwą wiadomość: „Donoszą nam telegraficznie z Czarnogórza, iż papiery długu państwowego czarnogórskiego, wynoszącego milion franków, podniosły się na giełdzie w Cetynii o 50 proc. skutkiem wiadomości o ofiarowaniu przez ks. Neapolu księżniczce Helenie bransoletki wartości blizko pół miliona." *Se non è vero, è ben trovato.*

Neapol, kraina pieśni, wstąpił w tych dniach w gorączkowy okres Piedigrotty. Co roku, w tym czasie, w pierwszym tygodniu września, rozpróżniaczona stolica lazzaronów nowoczesnych, owych *maccaroni*, dostaje gorączki, bo w d. 8 września jest wielkie, największe święto ludowe neapolitańskie w podmiejskiej grocie Madonny di Piedigrotta. Osobne pociągi dowożą z rozmaitych stron turystów, ciekawych ujrzeć ów kalejdoskop scen ludowych, hałaśliwych pełnych wrzawy, bójek i — muzyki. Poeci, kompozytorowie, wydawcy, porwani ogólnym szałem, wyczekują owego dnia, kiedy, podczas święta Madonny, popiszą się wobec tłumów nową pieśnią neapolitańską.

Nowa *canzone* — jeżeli jest rzeczywiście ładna, zwłaszcza jeżeli posiada miejscowy charakter, prawie że powiem „pieprzyk neapolitański" — jest wypadkiem, bo w salonach, na ulicy, w cafés chantants, w tysiącach bud po całym półwyspie będzie śpiewana przez cały rok, zostanie w repertuarze i zapewni autorowi popularność, oraz wcale nieszczupłą ilość grosiwa. W ostatnich czasach gorączka pieśni wybujała w Neapolu nieco zanadto. Wzięto się do sztucznej, forsownej hodowli neapolitańskiej pieśni i skrzywiono nieco jej charakter, a zarazem i smak dotychczasowy. Najwięcej przyczyniły się do tego owe wielkie „kawiarnie śpiewające", rozsadniki zepsucia i złego smaku. Zaczęły one rozpisywać konkursy, aby ściągnąć publiczność, płaciły dobrze, i skutkiem tego powstało mnóstwo neapolitańskich pieśni, ze słowami niemającemi wiele sensu, z muzyczką odbiegającą od tradycyjnego charakteru utworów miejscowych. O poezyi ani marzyć w owych utworach, tak iż zaczyna się zacierać tradycya kompozycyi, które zrobiły Neapol słynnym. Pozostał Paweł Tosti, poeta i wykwintny pieśniarz, jedna z chlub Włoch. A że i muzykalne gazety miejscowe i różne koła artystyczne rozpisywały konkursa na pieśni, przeto powstała ogólna gonitwa za utworami, co też wpłynęło na jakość, bo ilość nadzwyczajnie się pomnożyła. Z powodzi tych pieśni odróżniły się jednak w ciągu ostatnich kilku lat utwory prawdziwego talentu, nacechowane owem na poły wyuzdanem, na poły sentymentalnem usposobieniem Neapolitańczyka. Kilku kompozytorów, jak Costa, di Capua, Valente, de Leva, del Nutile, Gambardella, stworzyło sobie we Włoszech nadzwyczajną popularność, zwłaszcza z powodu pieśni, przedstawionych Neapolowi w czasie obchodu Madonny di Piedigrotta. Trzeba usłyszeć w Neapolu takie: „Caroisfola", „Carmela", „Tre chinove", „Africanella", „Furfure", aby nabrać wyobrażenia o muzie neapolitańskiej. Zeszłego roku zyskała rozgłos pieśń „Cataplaseme", która przez długi czas stanowiła rozkosz włoskich cafés chantants. Cataplaseme w żargonie neapolitańskim jest wyrazem na określenie starego niedołęgi. W teraźniejszym konkursie muzycznym w Piedigrotta, wśród kilkudziesięciu nowych piosnek odznaczą się podobno kompozycye Valentego „Seh, seh!" i Gambardelli „Il Pizzajuolo", tak przynajmniej twierdzi jeden z neapolitańskich dzienników. Pizzajuolo nazywa się u stóp Wezuwiusza sprzedający ciasta miejscowego wyrobu: jajeczniki, nadziewane pomidorami, rybami, posypane parmezanem. Nazywają się *pizza*. Są one trochę twarde, łykowate, ale Neapolitańczykom smakują; a największą pono ich zaletą, że dały powód do ładnej pieśni.

Bawi w Rzymie przybyły na kilka dni ks. biskup Albin Symon, rektor akademii duchownej w Petersburgu. Przybył również z Albanii miejscowy biskup. Polak, ks. Malczyński. Ks. Smolikowski, jenerał OO. Zmartwychwstańców, wybiera się do Galicyi i Bułgaryi.

Ukazało się w druku bardzo ozdobne wydanie ostatnich utworów poetycznych Leona XIII na cześć N. P. Maryi (Leonis XIII in Mariam Virginem Flosculi). Wydanie to jest w całem słowa znaczeniu artystyczne.

Panorama Golgoty.

W każdej gałęzi sztuki są tematy takie, że trzeba pewnej dozy odwagi, aby się chwycić ich przedstawienia. Nie dlatego, że te tematy są stare, że z nich wydobyto już wszystko... Nie. Każda najdrobniejsza rzecz jest nie wyczerpana w swej głębi, a tylko jej powierzchnia może uchodzić za skończoną. Chodzi o co innego. Oto, artysta, stojący przed tematem, który swoją potęgą nęcił już przed nim całe szeregi twórców i stał się przedmiotem dzieł nieśmiertelnych, musi zapytać się siebie: „Czy w tym temacie widzę coś z jego treści odwiecznej, czego nie widzieli moi poprzednicy, czy też nęci mię tylko jego ogrom i potęga?" Jeżeli to pierwsze, to intencya jego jest z góry usprawiedliwioną. Jeżeli jednak zachodzi druga okoliczność, to artysta kładzie widocznie nacisk na stronę techniczną, a wówczas powstaje nowe pytanie: czy on może się zmierzyć pod tym względem ze swymi poprzednikami, to znaczy, czy to, co już inni zrobili, potrafi podnieść do wyższej potęgi? Bo nie dość stanąć na tej samej wysokości, jaką już osięgnęli poprzedni artyści; byłoby to niejako cofnięciem się; a przytem, tylko wiara, że się uczyni jakiś krok naprzód, usprawiedliwia odwagę sięgnięcia po taki temat.

Podobne myśli narzucają się artyście przedewszystkiem wtedy, kiedy się bierze do tematów religijnych. Porywało się na ich przedstawianie mnóstwo artystów, bo one symbolizują wyższą duchową część ludzkości, tę część, której rzecznikami byli po wszystkie czasy prawdziwi arcymistrze. Różne też były motywa tego przedstawiania. Jednych popychała do tego wiara i jej uświetnienie — i ci trzymali się wskazówek dogmatycznych, a tworzyli niewolniczo, szematycznie. Inni akcentowali bardziej ludzką część tematów i skarby poezyi, które zamykali w swych dziełach, wydobywali z własnej duszy, podniesionej wzniosłością przedstawianego momentu. I tak malarstwo religijne przedstawia całą skalę, od naiwnych, powtarzających się ciągle w tej samej formie ikon, aż do najszczytniejszych usiłowań i efektów Rafaela, Michała Anioła i innych. Jest to źródło niewyczerpane, ale też pić z niego powinni tylko wybrani.

Tematem najbardziej i najchętniej wyzyskiwanym było zawsze i jest ukrzyżowanie Chrystusa. Głęboka tajemnica śmierci za ludzkość była zawsze i we wszystkich swoich momentach pożądaną dla twórczości treścią. W temacie tym (wszystko jedno, którą chwilę się odtwarza) jest — po za częścią wykonawczą, nawet po za grozą momentu — taka możliwość przedstawienia tętna wszechświata skulminowanego w jednym wielkim momencie, że musi ciągnąć ku sobie każdą duszę, która szuka źródła tych tajemnic. I zdziałano też w tym kierunku tak wiele, że kto dziś do owych tematów przystępuje, musi albo być pewnym, że idea jego jest artystyczna, wzniosła, a przedewszystkiem nową, albo, że jest zdolnym do potężniejszego przedstawienia, niż uczynili to inni. W tych pytaniach tkwi też punkt wyjścia krytyki, a wykonanie dzieła według odpowiedzi na jedno z tych pytań stanowi jedyne kryteryum. Wszelkie inne pobudki, gdyby jakie były, nie mogą wpływać na sąd, jako nieistotne, uboczne.

Pytania te co do intencyi, z której wyjść ma dzieło, postawić sobie musiał i twórca panoramy Golgoty. Ale może niedość jasno uświadomił sobie odpowiedź na nie. W hemicyklu wystawionym na wzgórzu stryjskiem, znajdują się odpowiedzi na jedno i na drugie pytanie, lecz jakby przymglone jakąś inną pobudką. Pan Styka chciał może dać coś nowego w nastroju chwili przed ukrzyżowaniem, ale do tej chwili dostroił się tylko pejzaż. Figury zaś są takie, że zdaje się, jakoby mało były przejęte tragedyą i to tak dalece, że równie dobrze mogłyby patrzeć na mniej wyjątkowy moment w dziejach ludzkości.

Ten rozdźwięk, który nie da się wytłumaczyć tem, że p. Styka malował nie obraz lecz panoramę, pozbawia dzieło charakteru koniecznej jednolitości. Tutaj wszystko: i pejzaż i grupy powinny być przesiąknięte tą atmosferą, która panuje w scenie głównej. To współczucie wszystkiego z wielką ofiarą, spełnioną na wzgórzu Golgoty, powinno być i jest zdaje mi się intencyą p. Styki. Dreszcz śmiertelny, który ma się w stopniu najwyższym udzielać widzowi z postaci Chrystusa, czekającego na spełnienie krwawej ofiary, przeczuciowe drżenie przed czemś wielkiem, co się stać ma za chwilę, powinno przejmować wszystko i wszystkich na panoramie. Odbijać to się winno w chmurach, kamieniach i świetle, w wyrazach twarzy i ruchu figur i tłumów. Groza w przyrodzie, wściekłość lub ciekawość tłumów żydowskich, trwoga i żal bezbrzeżny na twarzach tych, których Mistrzem był Ów zabijany — wszystko powinno wytwarzać jedno wrażenie, że oto tu, za chwilę stanie się akt jedyny w swoim rodzaju, straszny i zarazem zbawczy.

Czy zadaniu temu odpowiada wykonanie panoramy, czy odwaga jej twórcy jest usprawiedliwioną? Odpowiedź na te pytania rozłamuje się na dwie części: w pejsażu — tak; w figurach i grupach nie. Mógłby ktoś wprawdzie powiedzieć, że to dobrze, bo w panoramie obliczonej zawsze na jak największe optyczne złudzenie, figury, które koniecznie muszą mieć jakiś ruch, psują to złudzenie i są rzeczą uboczną, a główną — pejzaż. Ale ja się na to nie piszę, bo takie powierzchowne patrzenie na dzieło, takie kenocsye post festum krzywdzą twórcę i czynią go niegodnym miary najwyższej. Tymczasem grupy główne t. j. sam Chrystus, faryzeusze, niewiasty jerozolimskie, Szaweł i Gamaliel, gruby Rzymianin i łotry stoją bez ruchu zupełnie. Ale nie jest to nieruchomość trwogi, czy też innego jakiegoś uczucia, lecz nieruchomość manekinów.. poza. Nic tych postaci między sobą nie wiąże; stoją obok siebie, bo im je tak malarz stać kazał. Nie nienawidzą się wzajemnie, nie współczują ze sobą; brak im jednego t. j. życia. Tłum zbliżający się ku Golgocie, wstrzymywany przez żołnierza rzymskiego, nie usprawiedliwia swą postawą jego wysiłków: ten tłum jest jakiś obojętny. Nie popycha go nawet prosta ciekawość. Gromady zaś ludu siedzące na dachach i murach i płynące z bramy jerozolimskiej w kierunku Golgoty mają w sobie jakiś ruch ogólny, ale jest to tylko skutek osłabienia wzrokowego wywołanego wpatrywaniem się w mieszaninę plam różnokolorowych. Tak samo bez stosunku do całości są luźne grupy po prawej i lewej stronie obrazu, tak, że widz musi się pytać siebie, co właściwie wyrażają one w obrazie?

Za to pejzaż wynagradza do pewnego stopnia te braki. To tło ogólne całego obrazu, to na czem się wszystko dzieje, to co jest pozornie bez życia, to więcej odczuwa chwilę, niż organizmy pozornie żyjące. Oprócz bardzo dobrych szczegółów terenu, jak góry moabskie, mury obok głównej bramy, sadzawka, góra Oliwna, pokryta do połowy cieniem, chałupa z drzewem oliwnem itd., — cały ten pejzaż umiejętnie stopniuje wrażenie. Główną jego siłą jest niebo. Po prawej stronie ma ono tuż nad grzebieniem gór łagodny kolor seledynu, pogodny jakiś i cichy, przesycony słońcem zachodzącem. Ale nad tym seledynem zwieszają się już chmury. W miarę zbliżania się ku Golgocie, stają się one coraz ciemniejsze i cięższe. Jakaś groza bije z tych stalowo-fioletowych kłębów, przewalających się tuż nad samem miejscem wielkiej zbrodni, a wychodzących z poza ostro rysujących się ciemnych gór, po lewej stronie obrazu. To najwyższe spotęgowanie grozy ponad samą głową Chrystusa mówi, że tu właśnie tkwi źródło czegoś ogromnego, co katastrofę wywoła za chwilę i na wieki pozostawi ślady na ziemi i niebie. Ale psują to wrażenie szerokie promienie światła słonecznego, wypadające ze szczeliny w chmurach i spływające na twarz Chrystusową. Mając swój początek zasadniczy w chwalebnym idealizmie, który w tych przepaściach grozy odnaleźć jeszcze potrafił światło, — jak gdyby zapowiedź zbawczych skutków tej chwili, — rażą te promienie wykonaniem. Nie ma w nich przeźroczystości; są one jakieś strasznie materyalne, ciężkie, ale bynajmniej nie promienne.

W prostym stosunku do tej idealnej strony panoramy stoi i jej strona techniczna. I to jest całkiem naturalne. Na tej zewnętrznej stronie obrazu odbić się musiało koniecznie zrozumienie jego wewnętrznego życia. To też w pejzażu, który tonem ogólnym obcym dla nas, bo wschodnim, a przecież jakby znanym, bo dobrze uchwyconym, są szczegóły bardzo dobre. Tylko w niektórych miejscach, jak po lewej stronie obrazu, daje się uczuwać brak głębi, a Jerozolima widoczna dla nas wprawdzie tylko z góry, nie robi wrażenia takiego ogromu, jaki wiąże się w naszym umyśle z wyobrażeniem o tem mieście. Figury pod tym względem także nie dotrzymują kroku pejzażowi. Z małymi wyjątkami nie modelują się one, nie odrzynają od tła, ale są jakieś płaskie, jak gdyby wykrojone z papieru i ponalepiane na płótno.

Jednak, mimo tych braków, gdyby mię ktoś, sumując wszystko, co tu powiedziałem, zapytał, czy warto widzieć panoramę, odpowiedziałbym: Tak! i to nie tylko raz, ale nawet kilka razy. Już samą treścią daje ona myślącemu widzowi obszerne pole do rozmyślań, wywołuje zadumę. Całość zaś taka, jaką jest, daje pewne estetyczne zadowolenie, budzi jakąś dumę z tego, że duch ludzki umie w swych dziełach tak dobitnie się manifestować. Ogarniając całość, a pozbawiwszy się analizy, stoi widz przed wielką chwilą dziejową, mocą ducha ludzkiego wywołaną z przeszłości i uwięzioną, miejscami ogromnie łudząco na wielkim kawale płótna.

Stanisław Womela

Zygmunt Kaczkowski.

Już przeszło tydzień dzieli nas od chwili, kiedy jeden z najwybitniejszych członków naszej literackiej drużyny zeszedł do mogiły. Wieść o jego śmierci rozchodziła się po Paryżu powoli, bo nieboszczyk usunął się w ostatnich czasach od ognisk życia artystycznego i literackiego i poświęcił w zupełności sprawom finansowym. Dzisiaj, kiedyśmy już oswoili się ze stratą, podajemy kilka szczegółów o ostatnich latach życia i o zgonie Kaczkowskiego.

Ostatnie chwile życia spędził on w szczupłem i cichem kole przyjaciół. Ożeniony z francuską, panną Caillet, bezdzietny, wychowywał Kaczkowski dwu chłopczyków, synów siostry swej żony i był dla nich ojcem prawdziwym. Z pośród przyjaciół otaczających ostatnie jego lata najwybitniejszym był hrabia Oksza Orzechowski. Jest on finansistą i był niejednokrotnie wspólnikiem Kaczkowskiego w operacyach finansowych. Tym też operacyom oddawał się Kaczkowski niepodzielnie w ostatnich latach życia i one dały mu dobrobyt jakiegoby literatura dać mu nie mogła.

Mieszkanie jego w Paryżu położone było w dużym domu przy ulicy Lafayetta, o kilkanaście kroków od pełnego zieleni skweru w kwartale Srodkowym, pełnym gwaru ulicznego i zgiełku interesów. Był on bowiem prawie do końca *un homme d'affaire*, jednym z najbardziej szanowanych pośredników giełdowych. Jako taki był on bardzo zdolnym człowiekiem i miał pomysły niesłychanie szczęśliwe. Najlepszy dowód ich wartości, że się udawały. Nie wszystkie miały jednakowe powodzenie, bo na to trzeba być wyjątkowem dzieckiem szczęścia, ale niektóre przynoszą mu zaszczyt. Jednem z głośniejszych jest jego pośrednictwo w spłaceniu owych słynnych 5 miliardów kontrybucyi, którą Francya musiała dać Niemcom. Żądano złota, a tyle złota prawdopodobnie nie było we Francyi, a jeśliby się i znalazło, to oddać je, znaczyłoby ogołocić kraj z monety.

Wtedy Kaczkowski pojechał do Wersalu i przedstawił projekt założenia syndykatu zagranicznych poręczycieli długu francuskiego. Projekt przyjęto i Kaczkowski podpisał umowę jako przedstawiciel banku północnego w Hamburgu. Dzięki tej kombinacyi spłacili Francuzi kontrybucyę w części złotem, a w części wekslami niemieckimi. Za tę usługę Thiers dał Kaczkowskiemu legię honorową. Innem przedsiębiorstwem, które się także udało, a na którem Kaczkowski zarobił około miliona franków, było założenie „banku rzymskiego" do spółki z hr. Orzechowskim.

Według słów p. Kaczkowskiej, zmarły przewidywał zbliżanie się chwili ostatniej. Umarł z osłabienia, spowodowanego wiekiem, który nie mógł dostarczyć sił do walki z komplikacyami jakie w organizmie wywołały afekcye serca i choroba pęcherza. Operacya, jakiej się poddał, była środkiem heroicznym, ale bezskutecznym. Mając nie tylko przeczucie, ale jakby zupełne przeświadczenie, że koniec jego jest bliskim, wyraził Kaczkowski kilkakrotnie życzenie, aby go pochowano na cmentarzu Montmorency i ostatniem wymówionem przez niego słowem było: „à Montmorency". Choroba tymczasem czyniła swoje i koniec zbliżał się widocznie. Żona czuwała nad nim dniami i nocami. W poniedziałek o godzinie 5-tej rano zaczęła się agonia, która posuwała się cicho i spokojnie, niby ostatnia faza zaniku sił, zakończenie długiego stanu fizycznego upadku. Umarł nie wymówiwszy słowa, tylko przed śmiercią przyjął ostatnie namaszczenie.

W środę o godzinie 12 włożono trumnę na karawan. Pokrywał ją kir, na którym było kilka wieńców z napisami: *A mon mari, a mon ami, Sonvenir, Regrets* itd. Konduktowi prowadzonemu przez hr. Orzechowskiego towarzyszyła tylko szczupła garstka uczestników. Nabożeństwo w kościele św. Wincentego a Paulo celebrował ks. Tański a między obecnymi byli ze świata finansowego oprócz hr. Orzechowskiego p. Degois, p. Józef Gałęzowski; ze świata politycznego przedstawiciel ambasady austryackiej.

Literatura i dziennikarstwo francuskie reprezentowane były przez pp. Sas-Winnickiego, Toporowskiego, panią Szeligę. Dalej p. Władysław Mickiewicz, p. Antoni Potocki, korespondent *Gazety Polskiej* p. Lorentowicz, korespondent *Kuryera Codziennego* i czasowo bawiący w Paryżu literat warszawski, p. Gabryel Kempner.

Po kondolencyach, jakie wszyscy obecni kolejno złożyli u wrót kościoła pani Kaczkowskiej, kondukt ruszył na stacyę kolei Północnej, aby się udać na cmentarz.

O godzinie trzeciej popoł. karawan z trumną przybył nad grób. Pokropiona przez miejscowego proboszcza i potem kolejno przez wszystkich obecnych (ceremonia ta zastępuje rzucanie ziemi na grób zmarłego), spuszczoną została do wielkiej pieczary, służącej za schronienie tymczasowe. Kiedy sznury wyciągnięto, stanął na głazie, kryjącym pieczarę, dr. Józef Korzeniowski i miał krótką, serdeczną przemowę: „Żałobni słuchacze! Przychodzi nam pożegnać człowieka zasłużonego, pisarza wielkiego, który przez długie lata, choć tak długo na obczyźnie, nigdy nie przestał być ozdobą swojego społeczeństwa i któremu sprawiedliwość niewątpliwie zostanie oddaną. Oto spoczywa tu twórca „Murdeliona", twórca „Bajronisty" i tego całego cyklu sanockiego, w którym badał przeszłość naszą, nie tę dawną, ale tę tylko co umarłą i gdzie dziś jeszcze znajdujemy w ludziach te same rysy rycerskie i szlacheckie."

Mówca określił dobitnie zasługi literackie zmarłego, który prawie że do końca swojego życia nie wypuszczał pióra z ręki, choć w tem długiem życiu bywały i peryody dla literatury niepłodne — i zakończył słowy: „Niech mu ta ziemia będzie lekką!"

Zasunięto potem ciężkim głazem ciemną pieczarę i rozeszli się wszyscy, dążąc na stacyę i mówiąc między sobą, że ten pogrzeb skromny, który może i był po myśli zmarłego, nie wyrażał ani w drobnej części tego hołdu, jaki wielkiemu pisarzowi winno było społeczeństwo.

Śp. Kaczkowski zapisał lwowskiemu Towarzystwu historycznemu swoją bibliotekę i prawo własności wszystkich swych dzieł.

KRONIKA.

Lwów 15 września.

Cesarz w Galicyi. Przy nadzwyczaj nieprzychylnej pogodzie rozpoczęły się manewry forteczne pod Przemyślem jeszcze w sobotę. Pozycye strony zaczepnej, nad których umocnieniem pracowano pomimo deszczu całą noc z piątku na sobotę, ukończono, a bateryę przysposobiono do rozpoczęcia ognia. Z chwilą przybycia Cesarza na pole manewrów cofnęły się wojska strony zaczepnej, a forteca zaczęła ogień na pozycye nieprzyjaciela. Około południa rozkazał Cesarz wstrzymać ogień, a po południu udał się do pozycyi strony zaczepnej, aby obejrzeć skutki kanonady z fortecy. Pomimo, że baterye były dobrze kryte, osiągnęła artylerya forteczna dzięki celności strzałów i dobrej obserwacyi ich skutków z balonów, bardzo znaczne korzyści. Wieczorem rozpoczęto w obecności Cesarza na nowo ogień z bateryi fortecznych, ale wnet go wstrzymano z powodu ulewy.

W niedzielę Cesarz udał się na przyjęcia do Przemyśla, a wojsko miało dzień odpoczynku. Przez ten czas wypogodziło się i przy najpiękniejszej pogodzie rozpoczął się wczoraj dalszy ciąg manewrów. Wczesnym rankiem udał się Najj. Pan na pole manewrów, gdzie strona zaczepna rozpoczęła bardzo intensywny ogień skierowany na fortecę. Po południu badał Cesarz skutki ognia, poczem manewry wstrzymano aż do dnia dzisiejszego.

Cesarz udzielił ze swej prywatnej szkatuły dla ubogich miasta Przemyśla 800 zł., dla Tow. św. Wincentego à Paulo 300, Ochronce dla dzieci im. św. Jadwigi 200, klasztorowi Benedyktynek 200, dla bursy polskiej 200, dla bursy ruskiej 200, dla ubogich gminy Ujkowce 200, gminy Batycze 150, gminy Łętownia 100 — razem 2350 zł.

Przygotowania Krakowian na przyjęcie Monarchy. Na zaproszenie delegata p. Laskowskiego odpowiedziały wszystkie władze i instytucye krakowskie żywym ruchem, by przyjazd Cesarza w miarę sił uświetnić. Wiceprezydent Krakowa dr. Karol Pieniążek, w zastępstwie bawiącego w Wiedniu w sprawach miejskich p. Friedleina, zwołał — jak już wczoraj donieśliśmy — na niedzielę w południe nadzwyczajne posiedzenie rady miejskiej. Na posiedzeniu tem wybrano osobny *ad hoc* komitet, który zaraz po ukończeniu posiedzenia plenarnego, zasiadł pod przewodnictwem dra Pieniążka do obrad i program przyjęcia Monarchy uchwalił; komitet ten wydał także stosowną odezwę do mieszkańców miasta i zaproszenie do zapisywania się do straży obywatelskiej, która będzie utrzymywała porządek na dworcu kolejowym i przy ulicy Lubicz. Tam też, od narożnika kamienicy hr. Pusłowskiego do kamienicy p. Łapińskiego, wzniesioną zostanie brama tryumfalna, złożona z trzech części, z których środkowa będzie wysoką na 10 metrów. U szczytu bramy będzie umieszczony orzeł państwowy, a poniżej herb miasta Krakowa. Linie architektoniczne bramy będą oświetlone gazem, a dwie gwiazdy gazowe będą rzucały światło po obu jej bokach. Iluminowane także będą: most podgórski, brzegi Wisły między mostem podgórskim i kolejowym, kościół Bożego Ciała, Wawel, kopuła kościoła św. Piotra, kościół OO. Dominikanów, wieża ratuszowa i maryacka. Roboty te przy ulicy Lubicz, jakoteż dekorowanie dworca rozpoczęły się dzisiaj rano.

Pociąg dworski przybędzie jutro wieczorem o godzinie 9 minut 10 do Krakowa i zatrzyma się w hali dworca. Na peronie oczekiwać będą Cesarza naczelnicy i członkowie urzędów i władz, duchowieństwo, senat akademicki, Rada miejska, Rada powiatowa, Izba handlowa, delegaci obywatelstwa i reprezentacya izraelickiej gminy wyznaniowej. Na lewo ustawi się honorowa kompania z muzyką. Pozostałe miejsca peronu zajmie publiczność za biletami wstępu, które wydaje magistrat. Na prawo i lewo obok sali poczekalnej I klasy przeznaczono miejsca dla pań. Wstęp do części ulicy Lubicz po obu stronach toru kolejowego będzie również tylko za biletami dozwolony. Przy baryerach na Lubiczu od strony miasta oczekiwać będą Najdostojniejszego Gościa deputacye cechów, zboru izraelickiego, wojskowych weteranów i wiele innych. Cesarz, podczas *cercle* przyjmować będzie deputacye. Według dotychczasowych dyspozycyj, Monarcha zabawi na krakowskim dworcu około 10 minut.

Ze sfer urzędowych i towarzyskich. Namiestnik i Marszałek krajowy powrócili z Przemyśla do Lwowa. — Marszałek udaje się jutro z członkami Wydziału krajowego do Przemyśla na pożegnanie Cesarza w imieniu kraju.

Mianowania w biurze melioracyjnem Wydziału krajowego: Inżynier 2 klasy Aleksander Wierzbicki mianowany inżynierem 1 klasy, inżynier adjunkt Maksymilian Czernik inżynierem 2 klasy, a inżynier asystent Władysław Borowicz inżynierom adjunktem.

W sprawie Morskiego Oka uchwaliła komisya administracyjna sejmu węgierskiego utworzyć sąd polubowny, który oznaczy granicę sporną między Galicyą a Węgrami.

Konkurs na posadę sekretarza rady przy krakowskim sadzie krajowym rozpisuje prezydyum tego sądu z terminem do 3 października.

Z Izby sądowej. Rozprawa przeciwko Cyhańczukowi, o której wczoraj donosiliśmy, zakończyła się skazaniem go na jeden rok więzienia obostrzonego postem co dwa tygodnie.

Nowe starostwo w Podgórzu pod Krakowem zostało wczoraj uroczyście otwarte. Starosta hr. Starzeński objął już urzędowanie.

Stowarzyszenie nauczycielek we Lwowie rozpoczyna z dniem dzisiejszym kurs przygotowawczy dla nauczycielek pragnących złożyć egzamin wydziałowy. Przystępne warunki, oraz najpoważniejsze siły nauczycielskie, zaproszone do udzielania wykładów, są rękojmią, że usiłowania tej dla młodych nauczycielek bardzo pożytecznej instytucyi będą uwieńczone pomyślnym plonem. Koleżankom, które jeszcze nie powróciły z wakacyi, umożliwiło stowarzyszenie nauczycielek także korzystanie z kursu, bo — jak się dowiadujemy — można jeszcze wpisywać się do 20 bm. Również korzystać mogą z wykładów także i te panie, które się nie przygotowują do egzaminu wydziałowego, lecz tylko pragną uzupełnić swoje wykształcenie.

Wypadek czy zbrodnia? Niedawno donieśliśmy, że syn pana Mysłowskiego, właściciela dóbr Zubrzec, podczas polowania poniósł śmierć. Dotychczas mniemano, że zabójczy strzał padł tylko przypadkowo; ale może to być zupełnie inaczej. Oto w redakcyi *Kuryera Stanisławowskiego* zjawił się przed kilku dniami p. Mysłowski i oświadczył, że syn jego padł ofiarą z góry już obmyślanego morderstwa. Na podstawie zebranych w tej sprawie dowodów, wniósł p. Mysłowski doniesienie do prokuratoryi państwa.

Pan Sidoli przyjechał wczoraj do Lwowa i energicznie agituje za tem, żeby mu nie cofnięto uzyskanego cichaczem zezwolenia na postawienie budy cyrkowej w śródmieściu. Musi on o tem dobrze wiedzieć, że tak monstrualną koncesyę, gwałcącą ustawę budowlaną, obali Rada miejska lub wyższa instancya; ustawa bowiem budowlana wyraźnie i wcale niedwuznacznie powiada, że budy sklecone z desek winny być odległe od budynków sąsiednich przynajmniej na 20 m. Nasz magistrat znać zapomniał o tem i pozwolił Sidolemu postawić budę — mimo że sąsiadujące budynki są zaledwie o cztery metry (a więc nieco mniej jak dwadzieścia) odległe, i mimo że w pobliżu cyrku mieszczą się stajnie pocztowe i magazyny przepełnione owsem i sianem. Właściciel tych stajen wniósł — jak nas wczoraj poinformowano — protest przeciwko danemu cyrkowi zezwoleniu, jesteśmy jednak zdania, że choćby on nawet protestu nie wnosił, powinna policya ogniowa była o tem wiedzieć, że stawianie budy drewnianej w sąsiedztwie tak niebezpiecznem jest co najmniej ryzykownem. Że zdanie nasze w sprawie tej jest uzasadnione, najlepszym dowodem fakt, iż sekcya budownicza uchwaliła przedłożyć Radzie miejskiej wniosek, wyrażający ubolewanie, że magistrat wydał konsens na budowę cyrku; dalej wniosek o wybranie komisyi, któraby zbadała, czy przedłożone plany budowy cyrku odpowiadają przepisom, a nakoniec wezwanie do magistratu, aby w przyszłości nie udzielał konsensu na budowę cyrku bez odwołania się do pełnej Rady miejskiej.

Sekcya finansowa, której te wnioski przekazano do zaopiniowania: czy uchwalenie ich przez radę miejską nie mogłoby gminy narażać na szkodę, odbyła wczoraj długie narady i orzekła, iż gdyby konsens na budowę cyrku cofnięto, gmina mogłaby popaść w proces i ewentualnie być zmuszoną do bardzo znacznego, bo od 50 do 100 tysięcy wynoszącego odszkodowania.

Straszenie rady miejskiej statystycznem odszkodowaniem jest ogromnie śmieszne. Na słabych widocznie podstawach oparta jest koncepcya magistratu, kiedy się ratuje takiemi „strachami na Lachy". Idziemy jednak dalej i twierdzimy, że gdyby faktycznie groziło owo odszkodowanie, to nie poniesie go gmina, lecz owe jednostki, które z ominięciem ustawy budowlanej, udzieliły konsensu. A wiemy, że jednostki te są o tyle zamożne, iż mogą zapłacić karę za swój krok fałszywy, za konsens z ustawą sprzeczny.

Wniosek komisyi finansowej, ażeby nad sprawą tą przejść do porządku dziennego, powinien być odrzucony, już choćby dlatego, że powaga rady miejskiej wymaga, aby jej nie lekceważył magistrat i aby nie gwałcono ustaw.

W głośnej sprawie degradacyi oficerów rosyjskich pułku, którego właścicielem jest Cesarz Franciszek Józef, nadchodzą następujące wiadomości: Sprawa ta nie ma nic wspólnego z polityką; spowodowało ją następujące zajście: W jakimś szynku międzyborskim, ochrzczonym śmiesznie restauracyą, kilku pijanych oficerów z pułku dragonów imienia Cesarza austryackiego, obraziło żonę bawiącego tam wraz z nimi dzierżawcy młyna, nawiasem mówiąc kacapa. Kacap nie namyślając się długo, wypoliczkował jednego z napastników, poczem korzystając z ogólnego zamięszania, uciekł wraz z żoną. Rozjuszeni oficerowie postanowili pomścić zniewagę kolegi, wzięli się jednak do tego w sposób co najmniej oryginalny. Ponieważ nie można było odszukać owego młynarza, przeto rotmistrz Bradle zmobilizował cały swój szwadron, kazał nabić karabiny dragonów ostrymi nabojami i uderzył na Międzyborz, jak na miasto nieprzyjacielskie. W Międzyborzu mieszkają prawie wyłącznie żydzi i na nich też przedewszystkiem wywarli swój gniew dragoni. Żołnierze otaczali kolejno po kilka domów, wypędzali z nich wszystkich mieszkańców na ulicę, bijąc i kalecząc mężczyzn i kobiety szablami i kolbami, [illegible]. Dotarto w ten sposób do domu, gdzie się schronił kacap, sprawca całej awantury; wywleczono go i zbito tak niemiłosiernie, że według jednych wersyi skonał na miejscu, według innych umarł w kilka dni potem. Szwadron powrócił w tryumfie do koszar, a oficerowie z rotmistrzem na czele pili całą noc dla uświetnienia swego tryumfu.

Rzecz to oczywiście niesłychana, aby rotmistrz, zatem oficer wyższy rangą i starszy wiekiem, odważył się na taki rozbójniczy napad. Trzeba zaś wiedzieć, że pod samym Międzyborzem znajduje się ogromny obóz, w którym stale przebywa znaczna ilość wojska różnej broni. Otóż jest rzeczą zupełnie niemożliwą, aby komendant pułku, a nawet komendant obozu nie słyszeli odgłosów napadu. Jakoż pułkownik, dowiedziawszy się o całem zajściu, zamiast wyruszyć na miejsce z oddziałem żołnierzy i [illegible] napastników, wysłał tylko starszych [illegible] oficerów, którzy [illegible] mi skłonić Bradla i jego kolegów do zaniechania dalszej bitki. Namowy oczywiście nie pomogły, i szturm miasta trwał kilka godzin.

Liczba rannych i pobitych żydów ma być bardzo znaczna. Trudno jednak dowiedzieć się prawdy pod tym względem, gdyż obie strony przesadzają w cyfrach, każda na swoją korzyść. — W każdym razie wypadek był wyjątkowy i wymagał szybkiej kary. Generał Dragomirow [illegible] energią, a winni zostali zdegradowani na prostych żołnierzy. Jest to kara z jednej strony bardzo surowa, z drugiej za mało dotkliwa. Oficerowie zostali wprawdzie zdegradowani, ale nie pozbawieni ich prawa awansu; nie ulega zatem wątpliwości, że po kilku latach powrócą na swoje stanowiska. Kara była również nie dość zastosowaną do stopnia winy pojedynczych oficerów. — Główny winowajca był zdegradowany, a inni oficerowie, zwłaszcza korneci, świeżo wyszli ze szkół wojskowych, szli pod jego komendą, byli więc poniekąd usprawiedliwieni.

Bicykl przyczyną nieszczęścia. W Kalinowszczyźnie pod Czortkowem jechał jakiś pan na bicyklu, na którego widok konie zaprzęgnięte do wozu Jana Pawlikowskiego z pod Czortkowa spłoszyły się, szarpnęły gwałtownie wozem i przechyliły go, a p. Pawlikowski spadł z kozła tak nieszczęśliwie, że zaplątał się w lejce i wlókł się długo po kamieniach, przyczem tak mocno skaleczył się w głowę, iż nie ma nadziei utrzymania go przy życiu.

Z Milatyna piszą nam 14-go b. m. Sławne są odpusty tutejsze, dzisiejszy jednak swą okazałością przewyższył wszystkie poprzednie. Tysiące ludu ze wszystkich gmin okolicznych, a nawet i z dalekich stron przybyło, a kapłani już od świtu spowiadać musieli, chociaż ich było z górą pięćdziesięciu. Ten niebywały [illegible] rozeszła się wieść, iż ks. arcybiskup Isakowicz będzie celebrował sumę i miał kazanie. Istotnie przybył wczoraj szczęśliwy arcypasterz. Droga jego ze stacyi kolejowej w Zadwórzu do Milatyna równała się pochodowi tryumfalnemu, na każdym kroku arcypasterz zbierał dowody niekłamanej miłości i czci od ludności obu obrządków. Na dworcu w Zadwórzu powitał go kolator Milatyna p. Bohdan. W drodze otoczyła powóz ks. arcybiskupa banderya konna i odprowadziła go aż do Milatyna. Po drodze witali go stosownemi przemowami częścią po rusku, częścią po polsku wypowiedzianemi, gr. kat. parochowie ks. [illegible] z Zadwórza i ks. Włodzimierz [illegible] z Nowosiółek, którzy w otoczeniu parafian z chorągwiami wyszli na spotkanie ks. arcybiskupa. Ks. arcybiskup odpowiedział im również po polsku i po rusku i w kilku słowach podziękował za zgotowane przyjęcie, obu bratnich narodów. W Milatynie Starym wzniesiono bramę tryumfalną, u której oczekiwał gr. kat. paroch miejscowy ks. Zieleński w otoczeniu parafian. [illegible] poczem udał się na nocleg do domu kolatora p. Bohdana. Dziś o 9-tej rano przybył do bazyliki łacińskiej w Milatynie Nowym, [illegible] Ks. kanonik Mielechowicz przemówił w te słowa: „Ekscelencyo! Najprzewielebniejszy Arcypasterzu! [illegible] Któż Cię nie zna? [illegible] Obyś

Ekscelencyo! ukochany przez cały kraj Arcypasterzu, żył na chwałę Bożą przez długie i szczęśliwe lata a Cudowny Zbawiciel Milatyński, któremu przybyłeś oddać głęboką cześć i pokłon, niech zleje na Cię obfite zdroje łask niebieskich!"

Ks. Isakowicz kilku serdecznemi słowy odpowiedział na to powitanie i zarówno jak poprzednio tak i tutaj nawoływał dwa bratnie narody do pożycia zgodnego, poczem wprowadzony przez duchowieństwo wszedł do kościoła i odprawił sumę. Po kazaniu wypowiedział naukę do ludu, której tematem była cnota chrześcijańska cierpliwego znoszenia krzyżów i dolegliwości życia. Wszyscy obecni byli do łez wzruszeni. Po sumie odbyła się procesya dokoła kościoła poczem czcigodny proboszcz ks kanonik Mielechowicz podejmował ks. arcybiskupa i zebranych kapłanów obiadem. Prześliczny toast wypowiedział ks. arcybiskup, w którym dziękował zgromadzonym kapłanom polskim i ruskim, że tak zgodnie pracują dla chwały Bożej i na pożytek Kościoła i kraju. Żegnany serdecznie przez ludność, odjechał ksiądz arcypasterz wieczorem z powrotem do Lwowa, zostawiając w sercach wszystkich nigdy niezatarte wspomnienie.

Sylwetkę cara podaje wiedeński korespondent *Czasu*. Pisze on: „Ci, co się zbliżają do cara Mikołaja II, dobre, sympatyczne odnoszą wrażenie. Co do wielkich zadań politycznych swojego panowania, być może, iż albo nie chce, albo nie umie wypowiedzieć zdania — albo wreszcie nie ma jeszcze stanowczo wyrobionego, a wyrobić je sobie dopiero usiłuje. Cóżby w tem było dziwnego, gdyby w tak młodym wieku, tyle władzy, tyle potęgi i tyle oczów, zwróconych na siebie, nieco oszołomiły i nie zawracając bynajmniej głowy, obudziły chęć skupienia się, zanim się przystąpi do działania? — Ale co nie ulega wątpliwości, oto że car Mikołaj, jako człowiek, jest niezaprzeczenie inteligentnym i bardzo, nierównie więcej, niż przypuszczają, wykształconym, przytem dobrym i uprzejmym. Bardzo ma miły głos, a w rozmowie nadaje zręczny i przyjemny zwrot myślom. Aczkolwiek nie przepada za wojskowością, przecież więcej się nią zajmuje i lepiej zna się na szczegółach niż ojciec. Wielce za carem przemawia jego stosunek z dawnym nauczycielem.

Ten dawny nauczyciel jest oryginalną i jedyną w swoim rodzaju na dworze rosyjskim osobistością. Mist Heath uczył najpierw języka angielskiego cara Aleksandra III, później dzisiejszego cara. Obecnie jest on na dworze Mikołaja II, w dobrem tego słowa znaczeniu, rezydentem, na sposób rezydentów w magnackich domach polskich. Człowiek prawy, oświecony, choć już podeszłego wieku, czerstwy, jak umieją być Anglicy za pomocą sportu, Mist Heath oddaje się głównie rybołowstwu. Codzienny — o ile chce, o ile mu się to podoba — uczestnik stołu carskiego i jego przechadzek lub powozowych spacerów, również podróży. Bardzo i serdecznie przywiązany do osoby młodego cara, który mu się wzajemnością odpłaca, Mist Heath nie miesza się nigdy do tego, co do niego nie należy, ale oczywiście dużo rozmawia z dawnym uczniem. Cesarz dowiedziawszy się, że przyjaciel-pedagog pragnie żywo mieć w Finlandyi rybołostwo na łososie, najął dla niego takowe za bardzo wysoką cenę, tem spowodowaną, że już prawie wszystkie miejsca, gdzie się odbywa połów tej ryby, wynajęte zostały za znaczne sumy przez Anglików.

Cesarz Mikołaj II zdaje się wogóle bardzo wysoko cenić wiele rzeczy i zwyczajów angielskich. Para carska rozmawia ze sobą po angielsku. Carowa jest małomówną i nadzwyczaj po cichu wyraża się, co nie ułatwia wogóle rozmowy. Inną jest podobno w rodzinnem, poufałem kole.

Co do dalszego zachowania się i postępowania cara, nic przesądzać nie można. Jako rzecz, dotąd nie łatwą do wytłómaczenia, przytaczają, iż Mikołaj II rzadko bardzo źle się wyraża o ludziach, że są jednak dwie osoby, o których zawsze mówił z niechęcią, a mianowicie pp. Pobiedonoscew i Orżewski, a przecie dotąd nie ruszył ich z zajmowanych stanowisk."

Przybycie Nansen'a do Chrystyanii. Wjazd Nansen'a do stolicy Norwegii stał się prawdziwem świętem narodowem. Siedemdziesiąt przepełnionych pasażerami parowców wyjechało na spotkanie „Frama", który zawinął do Christiania-fjördu w towarzystwie 20-tu okrętów. Wzdłuż fjördu stały niezliczone tłumy ludu i witały „Fram'a" entuzyastycznemi okrzykami. Następnie „Fram" zarzucił kotwicę w zatoce Piperviks, gdzie powitały go okręty wojenne, parowce spacerowe, oraz łodzie prywatne, salwy armatnie i orkiestry. Między szpalerem łodzi żaglowych popłynęła załoga „Fram'a" do brzegu. Gdy Nansen wysiadł na ląd, zagrzmiały zewsząd okrzyki i rozległa się muzyka dźwiękami psalmu, którego wszyscy wysłuchali z odsłoniętemi głowami; następnie odśpiewano hymn narodowy i Nansen w istnym pochodzie tryumfalnym udał się do zamku. Gdy orszak zbliżył się do gmachu uniwersytetu, profesor Schiotz powitał badacza, podziękował mu za jego niezmordowaną pracę, sławił jego rozwagę, energię i bystrość naukową. Nansen podziękował widocznie wzruszony. Wszystkie ulice udekorowane były gęstemi szeregami masztów z flagami, połączonemi girlandami; na każdym maszcie znajdowała się tarcza, a na niej albo herb miasta norweskiego, albo nazwisko jednego z towarzyszy Nansen'a. W zamku czekały: matka, pani Nansen z jedyną pięcioletnią córeczką Nansen'a i matka kapitana Sverdrup'a z jego trzyletnią córeczką. Panie te były gośćmi króla, który je do zamku zaprosił. Pani Nansen i pani Sverdrup znajdowały się u mężów na pokładzie „Fram'a". We czwartek wydało miasto Chrystiania ucztę dla Nansen'a i jego towarzyszy, na którą zaproszono Ibsen'a i Björnson'a. Nansen ucieka od dalszych uroczystości i udaje się z żoną i córką do swojej willi w pobliżu stolicy. W Chrystyanii uroczystości wszakże trwać będą w dalszym ciągu, więc w niedzielę odbyła się nad morzem wielka zabawa ludowa, podczas której Björnson wygłosił przemowę do ludu. W Kopenhadze postanowiono wystawić na widok publiczny parowiec „Fram". Ofiarowano 200 000 koron jako kaucyę, a za pieniądze, jakie przyniesie opłata za zwiedzanie „Frama" wzniesiony ma być pomnik narodowy Nansen'owi w Chrystyanii. Plan powyższy przedstawiony został władzom w Chrystyanii do zatwierdzenia.

Ofiary gry w Monte-Carlo. Do jednego z hoteli w Villefranche zajechała onegdaj młodziutka para małżeńska, zapisawszy się jako małżeństwo Fouvert. Oświadczyli, że przybywają z Marsylli, zamierzają się kilka dni zatrzymać, aby się następnie udać do Nicei dla zwiedzenia okolicy. Całe popołudnie spędzili nad brzegiem morza, prawdopodobnie w zamiarze samobójczym. Wieczorem prosili gospodarza, aby im snu nie przerywano, ponieważ są bardzo zmęczeni. Skoro jednak do południa następnego dnia wcale się nie ukazali, po kilkakrotnem pukaniu drzwi otworzono przemocą. Oboje zastano nieżywych. Młoda, piękna kobieta spoczywała ubrana w łóżku, mąż jej, który zastrzelił najprzód żonę, a następnie siebie, klęczał nad nią pochylony, zupełnie już skostniały. Na stole ujrzano kartkę, zawierającą następujące słowa: „Co dopiero połączeni, postanowiliśmy spocząć w jednym grobie. Po utracie naszego majątku czekałaby nas niechybna nędza, dlatego musieliśmy umrzeć. Nie starajcie się stwierdzić naszego nazwiska. Przepraszamy was za przykrość, jaką wyrządziliśmy naszym krokiem. Pozostałą jeszcze drobnostkę przeznaczamy pokojówce hotelowej". Poniżej znajdował się jeszcze dopisek: „Nieszczęście chciało, że postanowiliśmy poznać Monte-Carlo, gdzie straciliśmy cały nasz majątek, wynoszący 50.000 franków. Karol Blanche". Ponieważ nie mieli przy sobie żadnych papierów, trudno byłoby stwierdzić właściwe ich nazwisko. Młoda kobieta miała jednak w płaszczyku zaszytą fotografię swego męża, z którą chciała widocznie być pochowaną. Z fotografii tej poznano, że młody człowiek był oficerem w jednym z pułków francuskich.

Protestant o szkole katolickiej. G. Stanley Hall pisze w *Journal of Education* co następuje: „Żadna doskonałość publicznego systemu szkolnego nie może zastąpić braku wychowania religijnego. Pod tym względem moglibyśmy wiele uczyć się od katolików. Jestem ciałem i duszą protestantem, ale mimo to chętniej dałbym dzieci swoje na wychowanie do klasztoru, albo do ścisłej szkoły parafialnej z jej katolicyzmem i legendami świętych, aniżeli do zakładu, gdzie nauka religii jest zakazaną.

W towarzystwie berlińskiem powszechną uwagę zwróciły zaręczyny panny Elżbiety Opitz, córki dymisyowanego majora z Drezna, z wicehrabią Seisiro G. Mutsudaira, synem ostatniego japońskiego daimia (księcia lennego) z Szimabara pod Nagasaki. Wicehrabia Matsudaira kształci się obecnie w akademii leśnictwa w Eberswalde i po ślubie zamierza studya prowadzić w dalszym ciągu w Niemczech. Jest on pierwszym Japończykiem krwi książęcej, który poślubia Europejkę, a pochodzi z jednej z 262 rodzin, w których tytuł daimia czyli księcia lennego był dziedziczny od lat 300. Rodzina Mutsudaira wszakże wraz z innemi rodzinami książąt lennych w dniu 14 lipca r. 1871-go zrzekła się dobrowolnie dziedzicznej godności, celem wzmocnienia władzy cesarskiej, a ostatni daimio z Szimbary, ojciec narzeczonego, żyje obecnie jako człowiek prywatny w stolicy Tokio, lub też w dobrach, jakie posiada w swoim dawnym kraju dziedzicznym, w prowincyi Fisen.

Dowcip ks. Walii. Niedawno podczas ślubu znanego skrzypka p. Adamowskiego, na który-to ślub zjechało się mnóstwo muzyków, opowiadano następującą anegdotę:

W czerwcu r. b. w Londynie u lady de Grey odbył się koncert, na którym oprócz księcia Walii z rodziną byli przedstawiciele najwyższej arystokracyi.

Wykonawcami programu koncertu byli Jan i Edward Reszkowie, Adam i Józef Adamowscy, Józef Śliwiński i jedyna nie-Polka, pani Melba.

Zawsze wielce uprzejmy książę Walii serdecznie dziękował artystom za przyjemne wrażenia i oznajmił, z uśmiechem, iż śpiew pani *Melbowskiej* wielce mu się podobał.

Pani Melba przysłała p. Adamowskiemu telegram z życzeniami z powodu jego ślubu i, przypominając ów dowcip ks. Walii, podpisała się Melbowska.

Zmarli. W Rajtarowicach koło Sambora ks. Wiktor Neronowicz, miejscowy proboszcz, w 67 roku życia. — We Lwowie Marya Gawacka, żona adjunkta sądowego w Husiatynie. — W Przemyślanach Jan Ruduicki, sekretarz miejscowej Rady powiatowej.

Stan powietrza. T. o 9 rano + 8 R., w poł. +15 R. Bar. 765. Podnosi się. Pogoda.

Dobry podział.

Iks, jak to człowiek czasem humor miewa,
Czasem znów z niego istny kawał drzewa;
A że przyjaciół ma wielu bogaczy
I gołych także sporo liczyć raczy,
Więc humor dobry z bogaczami dzieli,
A złym obdarza gołych przyjacieli.

Z teatru. Dziś we wtorek (wznowienie) „Nietoperz", operetka w 3 aktach Jana Straussa z panną Bohussówną w roli Rosalindy. Drugi występ p Stanisława Jarońskiego, tenora operetki warszawskiej. Jutro we środę „Sprawa kobiet", komedya (ze śpiewami i tańcami) w 4 aktach Michała Bałuckiego. We czwatek przedostatnie przedstawienie w teatrze letnim: po raz drugi „Pierścień rodzinny", operetka w 3 aktach Edmunda Audrana. W piątek ostatnie przedstawienie w teatrze letnim: „Dzwony z Corneville", operetka w 4 aktach Planquetta. W sobotę (pierwsze przedstawienie w teatrze hr. Skarbka) „Rej z Nagłowic", przysłowie historyczne w 3 aktach przez Konstantego Majeranowskiego. Rozpocznie: „Na Helikonie", prolog w 3 odsłonach przez Kazimierza Zalewskiego.

Podziękowanie. Na skutek odezwy naszej, wydanej w sprawie Zakładu wychowawczego w Łomnie (powiat turczański), wielu zacnych P. T. dobrodziejów pośpieszyło z ofiarami na to zbożne dzieło. Otrzymaliśmy mianowicie następujące dary:

JE. ks. arcybiskup Morawski 100 zł., JE. ks. arcybiskup Issakowicz 5, przewiel. ks. infułat Szediwy 2, ks. Jerzy Czartoryski z Wiązownicy 50, księżna Ogińska 10, hr. M. Drohojowska 2, hr. M. Ressénguier Kinsky 2; dekanaty dziekańskie: myśliniecki 2, wojnicki 6·34, kołomyjski 14·50, kolbuszowski 3, bełzki 4, kamieniecki 4·90, suski 2, rudnicki 2, brzeżański 12; Zwierzchności miast: m. Brzeżan 5 m. Kuty 10, m. Sokala 5, m. Krosna 10, m. Nowegotargu 2, m. Sambora 10, m. Jarosławia 10, m. Skawiny 10, m. Horodenki 5, m. Dobromila 15; Rady powiatowe: w Łańcucie 10, w Rohatynie 10, Towarzystwa pow. zalicz.: w Głogowie 10, w Jarosławiu 25, Tow. wzaj. ubezpieczeń w Krakowie 50, Towarzystwo kredyt i oszczęd. w Gwoździcu 5, Tow. dam dobrocz. św. Wincentego a Paulo w Przemyślu 14·40, ks. J. Dornwald 10, ks. W Pilszak 5·40, ks. A. Rąpała 50 ct., ks. Tryczyński z kolegami 10, ks. L. Solecki 1, ks. Sylwester Dzierżyński 5, ks. A. Podgórski 1·50, ks. Józef Jakiel 1, ks. Lipiński 1, ks. Gumutka 5, ks. W. Pawlikowski 2, G. M. ze Lwowa 1, L. Balicki 2, ks. dziekan A. Eminger 6, M. Zenon Serwatowski 10, Edm. Rozwadowski 5, Fel. R. Bogdanowicz 2, St. Biesiadecki 5, Zbig. Horodyński 2, Henr. Kaczorowski 5, Winc. Gnoiński w Cieszanowie 20, ks. Cwiąkała z Ameryki 2.50, ks. A. Rychel 2, ks Wojaczyński 1, ks. Bieda 1, ks. Grzywa 1, ks. Wałęcki 1, OO. Franciszkanie w Sanoku 1, H. Wolska 50 ct., H. Szust 50 ct., W. Rybotycka 50 ct. P. Gostyńska 3 zł.

Wszystkim tym ofiarodawcom komitet opieki dla Zakładu w Łomnie czuje się spowodowanym złożyć najserdeczniejsze podzięki, polecając dalszej ofiarności rodaków Zakład, który wiele jeszcze ma potrzeb niezaspokojonych.

Wyjątkowe poparcie spotkało nas w Rymanowie, gdzie staraniem I kr. leśniczej kolonii a poparciem właściciela Zakładu J. W. hr. J. Potockiego, Przew. ks. dziekana Koleńskiego przy współudziale wybitniejszych sił artystycznych, jak p. Piżłówny, Kozłowskiej, p. Głowackiego i innych, urządzony został wieczorek deklamacyjno-muzykalny ku czci ś. p. arcybiskupa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, a na korzyść Zakładu łomniańskiego. Wieczorek sam przyniósł 89 złr. Droższą jest dla nas wszakże sama inicyatywa podobnych wieczorków, które ożywiając w całym kraju pamięć „dobrego pasterza" w sercach rodaków, jak się wyraził Przewiel. ks. Koleński, stać się zarazem mogą stałem źródłem poważnej zapomogi dla ostatniego Jego dzieła. *Komitet.*

Literatura i sztuka.

* **Czemu sprawa regulacyi rzek naszych i melioracyi nie posuwa się naprzód?** — Pod tym tytułem wydał inżynier ze Lwowa p. A. Żabobrzycki broszurę, w której wyjaśnia przyczyny tak długiej zwłoki i podaje sposoby załatwienia tej sprawy.

* **Wielkiej encyklopedyi powszechnej** ilustrowanej wyszedł tom III drugiego nakładu i zawiera 8 zeszytów od 17 — 32. Pomnikowe to wydawnictwo zyskuje sobie czem raz większe koła odbiorców i jest nadzieja, że z czasem wyrugnje z domów polskich leksykony niemieckie, którymi nas zagranica zasypuje.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 15 września. Stara *Presse* omawia kompromis wyborczy, zawarty przez liberalnych i konserwatywnych członków kuryi wielkiej własności w Austryi Górnej i oświadcza, że z jakiegokolwiek punktu widzenia zapatrujemy się na sprawę, idea kompromisu odpowiada zupełnie konstytucyjnemu zadaniu wielkiej własności, której misya polityczna polega głównie na łagodzeniu politycznych kontrastów. Że rząd popierał przyjście do skutku tego kompromisu, jest rzeczą całkiem naturalną, a nawet leży w sferze obowiązków rządu. Tym jednak, którzy utrzymują, że nie w fakcie przyjścia do skutku kompromisu, lecz w jego warunkach tkwi poniżenie liberalizmu i poniekąd jego samobójstwo, oświadcza *Presse*, że na tym punkcie nie należy rządu wcale wciągać w dyskusyę. Można przypuszczać, że rząd w ogóle pochwalał ideę kompromisu i popierał ją; atoli układanie jego warunków pozostawione było wyłącznie stronnictwom. Zresztą i w tych warunkach niepodobna dopatrzeć żadnego poniżenia liberalizmu. *Presse* wątpi bardzo, czy szersze sfery liberalnego stronnictwa z powodu tego kompromisu byłyby skłonne liberalnym członkom większej własności z Austryi Górnej robić zbyt cierpkie wyrzuty.

Wiedeń 15 września. Prezes gabinetu hr. Badeni powrócił tu wczoraj z podróży swej po Nadbrzeżu. W Poli, Mitterbergu, Divacca urządzono hr. Badeniemu prawdziwie entuzyastyczne owacye. Burmistrzowi Poli Rizziemu dziękował hr. Badeni za tak serdeczne przyjęcie, jakiego doznał w tem mieście. Przed wyjazdem z Divacci oświadczył hr. Badeni namiestnikowi Rinaldiniemu, że podróż po kraju nadbrzeżnym zachowa zawsze w miłem wspomnieniu.

Sofia 15 września. Skrutynium wyborcze trwało przez całą noc aż do godziny 6 rano. Z listy rządowej otrzymali Nacowicz 3279 głosów, Gorbanowicz 3171. Takiej większości dotychczas jeszcze nikt nie otrzymał. Rezultat teraźniejszych wyborów okazał, że nawet połączone frakcye opozycyjne nie mogą odnieść żadnego sukcesu.

Wiedeń 15 września. Przybyła tu księżna czarnogórska Milena z córką, ks. Anną i synem Mirkiem.

Salcburg 15 września. Umarł tu poseł do Rady państwa Lienbacher.

Opawa 15 września. Kurya większej własności wybrała dotychczasowych posłów do sejmu (t. j. częścią liberałów, częścią nie należących do żadnego stronnictwa).

Antwerpia 15 września. Wedle informacyi z wiarygodnych źródeł, wykryto tu podobno przygotowany zamach na cara. Znaleziono mianowicie w pobliżu Antwerpii tajne laboratoryum bomb. Wytropiła je policya angielska i utrzymuje, że zamach miał być wykonany podczas pobytu cara w Londynie. Uwięziono czterech ludzi. Dwaj z nich mieszkają w Rotterdamie, dwaj w Londynie i wszyscy pochodzą z Ameryki. Jeden z aresztowanych nazywa się podobno Wallace. Policya sądzi, że do spisku tego należał także pewien człowiek, który uciekł z Wrocławia i u którego przy aresztowaniu go znaleziono kilka bomb.

Ateny 15 września. Powstańcy w liczbie około 100 wynajęli parowiec, który chciał ich przed kilku dniami wysadzić na ląd na brzegu macedońskim. Wojsko tureckie przeszkodziło temu i zabiło dwóch powstańców. Nazajutrz jednak wylądowali powstańcy w innem miejscu.

Wiedeń 15 września. *Wiener Zeitung* ogłasza iż Cesarz sankcyonował uchwałę sejmu z 8 lutego 1896 co do finansowego poparcia budowy kolei Delatyn-Kołomyja Stefanówka.

Ateny 15 września. Kordon wojskowy na Krecie zniesiono, a wojska ściągnięto do forteс. Ruch handlowy zaczyna się ożywiać.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 14 września. K. Małachowski z Podola ros. S. hr. Koziebrodzki z Chlebowa. St. hr. Zamoyski z Wysocka. J. Borowski z Drohomyśla. J. Gnoiński z Cieszanowa. G. Mansfeld z Paryża. L. Gelland z Lyonu. M. hr. Piniński z Koszyłowiec. A. Cielecki z Porchowy.

Lwów dnia 15 września (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m, k. 217·60 do 220.60, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 289.— do 292.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 395.— do 4 5.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.15 do 110.25, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 99.80 do 100.50. 4 proc. los w 60 lat 96.60 do 97.30. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los w 42 i pół latach 97.60 do 98.30, 4 proc. los. w 56 lat 97.50 do 98.20.

Obligi. za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc 97.50 do 98.20. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.50 do —. Kom. Banku kraj: 5 proc. (II emisyi) 102.— do 102.70. Pożyczki kraj. 6 proc. 105.— do —.—, 4 i pół proc 100.00 do —.—, 4 proc. z r. 1891 97.— do 97.70, 4 proc po 200 koron z roku 1893 97.— do 97.70.

Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9 50 do 9 60. Półimperyał 9.53 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.27 do 1.28. 100 marek niemieckich 58.50 do 59.—.

Wiedeń 14 września. Notowania wieczorne Kredyty 369·25, węgierskie kredyty 403·00, anglobank 156.50, bankverein 264·—, unionbank 300·00, länderbank 252·—, staatsbahny 368·25, lombardy 102·—, elbethale 279.25, akcye tytoniowe 163.00, rima 243.00, alpiny 81 90 renta majowa 101 60, węg. renta koronna 99·40, losy tureckie 50·80, marki 58·70, ruble —.—.

RUCH POCIĄGOW KOLEJOWYCH

obowiązujący z dniem 1 maja 1896 (czas środk.-europejski).

Do Lwowa przychodzą:	Pociągi pospieszne			Pociągi osobowe			
Z Berlina	5.10	1.30		3.55	6.55	9.30	
Z Krakowa Wiednia i Z Wrocławia	5·10	1.30	8.45	3.55	6.55	9.30	
Z Warszawy	5.10			3.55		9.30	
Z Muszyny-Krynicy przez Tarnów †) od 1 czerwca do 30 września *) od 25 czerwca do 15 września	*5·10			†[illegible]	9.55		
Muszyny-Krynicy przez Rzeszów	5,10						
Z Muszyny Krynicy przez Przemyśl	—		8·45	[illegible]		9.30	
Mszany d. przez Tarnów Z Rozwadowa i Nadbrzezia przez Dembicę	—						
Chabówki przez Tarnów	5.10	1.30			6.55		
Z Chabówki przez Rzeszów	5.10	1.30					
Z Chabówki przez Przemyśl	—	1.30		3.55			
Z Rawy ruskiej przez Jarosław	—	1.30	8.45			9.30	
Z Krosna, Iwonicza, Rymanowa, Sanoka przez Przemyśl	—	1.30	8.45	3.55		9.30	
Z Mezö-Laborcz i Pesztu przez Przemyśl	—		8.45	3.55		9.30	
Z Ławocznego, Pesztu, Miskolcza, Munkacza	—			3.00			
Z Hrebenowa, tylko od 10 lipca do 31-go sierpnia	—			1.51			12·10
Ze Skolego i Stryja *) ze Skolego tylko od 1 maja do 30 wrześn.	—			3.00	1.51	10.10	
Z Stanisławowa przez Stryj	—			3.00	1.51		12·10
Z Chyrowa przez Stryj	—			3.00	1.51	10.10	12·10
Z Suczawy, Husiatyna, Körösmezö, Słobody, rungurs., Berhomethu, Czudyna, Radowiec, Kimpolungu, Bukaresztu i Jass	—		9.55				
Z Suczawy, Czortkowa, Körösmezö, Kałusza, Sopowa, Bukaresztu i Jass	—				2·01		
Z Suczawy, Radowiec, Berhometu i Czudyna każd. poniedziałku), Peczeniżyna	—					6.19	
Z Suczawy Husiatyna, Kałusza, Nowosielicy, Czudyna każdego poniedziałku Radowiec, Kimpolungu, Bukaresztu i Jass	—			7.28			
Z Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską	—			3.15		5.45	
Z Bełzca	—					5.45	
Z Podwołoczysk i Brodów na dw. Podzamcze	—	2·18	9.50	7.42	4.45		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworz. główny	—	2.24	10.05	3.06	5.10		
Z Brzuchowic od 1 maja do 21 czerwca i od 15 sierpnia do 6 wrześn.	—					8.03	
Z Brzuchowic od 26 czerwca do 14 sierpn.	—					8·26	
Z Janowa *) przez cały rok, †) tylko od 16 czerwca do 31 sierpn.	—			*7.50	†5.22	†8.54	
Z Janowa tylko od 1 maja do 15 czerwca i od 1 września do 30 kwietnia	—				1.10	7.48	
Ze Lwowa odchodzą do:							
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	3.40	2.50	11.00	4.40	9.55	6.45	
Warszawy	3.40		11.00	4.40		6.45	
Muszyny-Krynicy przez Tarnów *) tylko od 1-go czerwca do 30 września	3.40		11.00	4.40		*4.55	
Musz.-Kr. przez Rzeszów	—		11.00				
Musz.-Kr. przez Przem.	—					6.45	
Rozwadowa i Nadbrzezia	3.40		11.00	4.40			
Chabówki przez Tarnów	—		11.00				
Chabówki przez Rzeszów	—		11.00		9.55		
Chabówki prz. Przemyśl	—				9.55	6.45	
Rawy r. przez Jarosław	—	2.50		4.40			
Chyrowa, Sanoka, Iwonicza, Rymanowa przez Przemyśl	—			4.40	9.55	6.45	
Mezö-Laborcz i Pesztu przez Przemyśl	—			4.40		6.45	
Ławocznego, Munkacza, Miskolcza, Pesztu prz. Stryj	—			5.22		7.22	
Hrebenowa tylko od 10 lipca do 31 sierpnia przez Stryj	—				9.25		
Skolego i Stryja *) do Skolego od 1 maja do 30 września				5.22	9.25	*2.05	7·22
Stanisławowa i Chyrowa przez Stryj	—				9.35	7.22	
Chyrowa przez Stryj	—			5.22			
Suczawy, Jass, Bukaresztu, Husiatyna, Körösmezö, Kołomyi nad. przedm., Berhometu, Czudyna, Radowiec, Kimpolunga	6.10						
Suczawy, Peczeniżyna, Czudyna i Berhomethu każd. poniedz. Radow.	—				10.25		
Suczawy, Jass, Bukar., Czertkowa, Kałusza, Körösmezö, Kimpol.	—				2.45		
Suczawy, Jass, Bukar., Husiatyna, Kałusza, Peczeniżyna Nowosielicy Radowiec	—						10.15
Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską	—			9.15		7.15	
Bełzca	—			9.15			
Podw. i Brodów z Podz.	6.14	2,25		9.48			
Podw. i Brodów z gł. dw.	6.00	2.11		9.30			11.15
Zimn. wody od 1 czerwca	—				3.29		10.45
Brzuchowic od 14-ego czerwca w niedziele i święta	—				1.20	3·20	
Brzuchowic od 1 maja do 6 września w dnie pow.	—				3.20		
Janowa od 1 maja do 15 czerw. i od 1 wrz. do 30 kwiet. codzienn.	—			9.45	3.00	8.55	
Janowa od 16 czerw. do 31 sierpnia * codzien. † w niedzieli i święt. § w dnie powszednie				*9.45	†1·05	§2.00	*6 2

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych. Czas środkowo europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut. Godz. 12 czas środkowo europejski = godz. 12·36 zegara podług lwowskiego

(15

SERCE ZA SERCE

POWIEŚĆ

przez

Autora „Fałszerza".

(Ciąg dalszy.)

Codziennie Róża i Robert ze wzrastającym niepokojem spoglądali w twarz biednej matki, coraz to bledszą, rozpromienianą się tylko na ich widok. Często zastawali chorą zupełnie z sił wyczerpaną.

— Ciociu — prosiła Róża, przyklękając obok niej — przejdziemy się trochę, to cioci dobrze zrobi.

— Dobrze, dziecko, jeżeli potrafię! — odpowiadała pokornie.

Zaprowadzono ją nad brzeg morza i posadzono między skałami, w wolnym od wiatru zakątku. Tam, w słońcu i ciszy, spoczywała godzinami całemi, przysłuchując się w milczeniu szumowi fal, które budziły w jej sercu wspomnienia minionej przeszłości. Odtąd żyła, jakby we śnie, tracąc coraz więcej poczucie rzeczywistości. Czasami, skutkiem wielkiego osłabienia, stawała się podobną do małego dziecka. Wpatrywała się długo w loty białoskrzydłych mew, krążących nad wodą, cieszyła się na widok mchów i paproci, wyściełających szczeliny skał, pieściła ręką wonne kielichy kwiatów, sama podobna do więdnącej róży.

Z chwilą, gdy słońce o zachodzie zanurzało się w fali, Robert podawał ramię ciotce i wraz z żoną odprowadzał ją do domu. Szli wolnym krokiem przez lasek świerkowy, a wpół drogi zatrzymywali się przy wiejskim kościółku, gdzie biedna chora długo modliła się u stóp ołtarza. Podczas tych modłów mówiła nieraz, zwracając się do Róży i Roberta:

— Zostawcie mnie tutaj, dzieci moje, a potem przyjdziecie po mnie...

A gdy się stało zadość jej życzeniu, w łzach gorących wylewała przed Boskim swoim Powiernikiem wszystkie bóle i rozczarowania rozdartego serca, które całe zwracało się ku Niebu, szukając w niem jedynej pociechy i ukojenia.

— Panie! — mówiła — wyzułeś mnie ze wszystkich radości ziemskich, abym bliżej była Ciebie. Oto jestem... Dusza moja gotowa na zawołanie Twoje.

W tej chwili zegar na wieży wydzwaniał godzinę wieczorną, słońce, chyląc się ku zachodowi, złociło ściany świątyni, lampka przed ołtarzem migotała tęsknie, a ta dusza, nawpół już oderwana od świata, na skrzydłach modlitwy coraz to wyżej wznosiła się w przestworza niebieskie.

— Boże — błagała — daj mi silniejszą wiarę... wzmocnij w sercu mojem upadającą nadzieję. Daj mi nie zachwianą ufność Świętych Twoich. Jam bez siły dzisiaj i nic już dziecku mojemu pomódz nie mogę. Gdy mnie zabierzesz z tego świata, tam, z góry, lepiej będę mogła czuwać nad moim biednym Henrykiem.

I z niezachwianą pogodą ducha, myśląc o zbliżającej się śmierci, dodawała:

— Niezadługo, gdy będę bliżej Boga, prosić Go będę za moim synem.

Ale przyszedł czas, że musiała zaprzestać przechadzek i modłów w kościele. Osłabienie jej wzmagało się z dniem każdym, pozbawiając ją ostatnich pociech. Nie mogła już ani wiele czytać, ani nawet słuchać dłuższych opowiadań Róży. Zamiast odwiedzać biednych, była zmuszoną sprowadzać ich do siebie. A im słabszą się czuła, tem łagodniejszą i czulszą stawała się dla tych, którzy ją otaczali. Dusza jej, w miarę, jak wyzwalała się z pęt doczesnych, promieniała siłą bohaterstwa, które zwycięsko wychodziło z ostatniej próby.

Przeszło lato i nadeszła jesień. Pani de Tremaliene całe dnie spędzała, leżąc na otomanie, przy otwartem oknie, przez które widać było więdnące krzewy i kwiaty. Godzinami wpatrywała się ta nieszczęśliwa matka w dal, która ją dzieliła od syna. Krajobraz powlekał się tęsknym, jesiennym urokiem, zwiastującym nadejście zimy. Spokój natury odbijał się też na bladem czole męczennicy, z którego ustępowały ślady cierpień fizycznych. Doznawała dziwnego spokoju i chęci wyswobodzenia się z tego życia, które zaczynało jej już bardzo ciężyć. Z radością rozmyślała o rozkoszy, jakiej doznaje strudzony podróżny, gdy czeka go nareszcie upragniony spoczynek. I ona długą, ciernistą odbyła drogę i strudziła się bardzo... bardzo.

Czas jej też było odpocząć.

Często brała do ręki Naśladowanie Chrystusa i zwolna, z przejęciem głębokiem, odczytywała Boskie słowa, które, jak balsam kojący, wsiąkały w jej duszę. Potem kazała sobie przynosić szufladki z swego biurka i porządkowała listy i papiery, wczytując się z rozrzewnieniem w drobne kratki, zapisane dziecięcem pismem.

— Ach! czyż mogłabym o nim zapomnieć?! — szeptała smutnie, sama do siebie. — Czyż duch mój będzie mógł zaznać nawet tam, w górze spokoju i szczęśliwości niebiańskiej, jeśli on tu, na ziemi, walczyć i cierpieć będzie?

I znowu odczytywała listy syna, dając się porywać nieprzepartemu urokowi wspomnień. Potem starannie obwiązywała paczki czarnemi wstążeczkami i odkładała je na bok, myśląc ze smutkiem, że po niej nikt już zaglądać do nich nie będzie. Spoczną na zawsze w zapomnieniu.

I tak dzień schodził. O zmroku zapalono na kominku ogień, który przelotnymi blaskami oświetlał stare portrety na ścianie dworku i sprzęty pamiątkowe. Monotonne uderzanie zegaru przerywało ciszę tego pokoju. Pewnego razu weszła do chorej Róża, mówiąc:

— Droga cioteczko, przyszłam ci pomódz położyć się do łóżka.

Lecz nagle, zatrzymawszy się w pół pokoju, dodała zaniepokojona:

— Jakaś ty blada, ciociu! Dlaczego nie zawezwałaś mnie do siebie? Byłabym cię wcześniej położyła, a sen pokrzepił twoje siły...

Pani de Tremaliene uśmiechnęła się smutnie.

— Tak sądzisz, moje dziecko? — odrzekła. — Ach, niedługo spocznę już snem nieprzerwanym.

Róża próbowała jej zaprzeczyć.

— Nie rób sobie złudzeń, moje dziecko! — przerwała jej z lekkim uśmiechem. — Cierpienie wyczerpuje życie. I nie płacz po mnie.. kto wie, ile łez jeszcze grób mi oszczędzi...

Mówiąc to, zdjęła z wychudłego palca kosztowny pierścień brylantowy, dany jej niegdyś przez męża.

— Moje dziecko — rzekła — poproś Roberta, aby kazał ocenić i sprzedać ten klejnot rodzinny. Pieniądze, które otrzyma za niego, niechaj niezwłocznie wyszle do Kanady. Kiedy dzięki waszym zabiegom udało nam się trafić na ślady nieszczęsnego Henryka, trzeba ułatwić mu powrót. Napiszcie do niego, że jestem bardzo chora i że chcę go widzieć przed śmiercią, aby mu przebaczyć. Powiedźcie tylko, aby nie zwlekał. Niech się spieszy, bo może być za późno. Ja już nie mam siły, abym sama napisała do niego.

Od tej chwili pani de Tremaliene nie przestała liczyć dni do przyjazdu syna, którego serce jej rozpaczliwie wzywało do siebie w ostatniej godzinie życia.

Tymczasem chwilowo radość w domu zapanowała nad smutkiem. Zapomniano na czas jakiś o śmierci wobec nowo budzącego się życia. Róża powiła szczęśliwie syna, a gdy przyniesiono go od Chrztu św., przypatrywała mu się długo ze łzami w oczach, a następnie rzekła:

— Kocham cię, mój synu, bardzo... bardzo...

— O, tak! — wtrąciła pani de Tremaliene głosem drżącym od tłumionego łkania. — O, tak!... kocha się bardzo swoje dziecko...

Po chwili dodała:

— Kocha się je do tego stopnia, że można umrzeć z żalu wobec jego niewdzięczności i błędów.

Z oczyma, wzniesionemi ku niebu, z ustami poruszającemi się, jakby w gorącej modlitwie, wyciągnęła przezroczyste dłonie nad głową uśpionego dziecięcia, błogosławiąc je na drogę życia.

— Wychowajcie swego synka dobrze, w poszanowaniu tego, co święte, wzniosłe i szlachetne — mówiła przez łzy. — Kształćcie tę młodą duszyczkę na podobieństwo własnej. Niechaj nigdy nie zawiedzie nadziei waszej... Niech będzie radością i chlubą życia waszego...

Wieczorem dnia tego goście, którzy przybyli z powinszowaniami, ożywili biały dworek. Pani de Tremaliene zbyt czuła się osłabioną, aby zejść na dół. Pozostała więc samotna w swoim pokoju, błagając Boga, jak zwykle, o powrót syna.

XIII.

Od chwili, gdy Henryk stanął w Kwebeku, pędził najnędzniejszy żywot, wlokąc za sobą okowy starganych marzeń i zawiedzionych nadziei. Gdy zaglądał do głębi własnego serca, nie znajdował tam nic, prócz zgryzot, goryczy i żalu za zmarnowanem życiem. W dodatku straszliwe widmo nędzy nie przestawało go dręczyć. Daremnie szukał pracy, kołacząc o nią do wszystkich drzwi; zwykle odprawiano go z niczem, bo jakież mógł przedstawić świadectwa, na jakąż przeszłość się powołać?

Hulaka... szuler... zabójca! widniał napis, wiecznemi zgłoskami wyryty na karcie jego życia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka (Hotel Żorża). Zarządca W. Hodak.